

Na psa urok...

Zgodziłem się. Trudno. Napisać coś o psach. Temat można powiedzieć pleski, co gorsza, za

reportaż też zapłacić jak za psa. A więc na psa urok — zaczynamy.

Gdyby rzecz potraktować historycznie to już w epoce kamiennej nastąpiło zbliżenie psa i człowieka. Pies wszedł do jaskiniowej rodziny i stąd otrzymał nazwę canis familiaris. Potem na starożytnych freskach Egiptu, Babilonii, w ruinach starożytności chińskich odnajdywano rysunki psów w towarzystwie ludzi. Przebywają w tym towarzystwie do dziś, choć zapewne jest to dla nich nieco uciążliwe. Psa cierpliwość nie ma jednak granic. Psiak na przykład lubi się bawić, w koleżeńskich zamierach szuka towarzystwa innych psów, ciekaw jest wszystkiego co sobie wypatrzy, nieci go jakiś zapach, a jednak taki pies któremu powierzono rolę przewodnika niewidomych potrafi przez kilka godzin dziennie zapomnieć o sobie, oddaje się swojej pracy. Skupia do maksimum uwagę i... posłuchajcie fragmentu listu jego pana:

„...dostałem za przewodnika owczarka alpackiego i przestałem być sam w ciemnościach. Jest ze mną wierna, kochająca istota czujna na każde grożące mi niebezpieczeństwo. Bez strachu chodzę po ulicach bo wiem, że moje „drugie oczy” wskażą mi każdą nierówność terenu. „Iga” zaprowadzi mnie do telefonu, do tramwaju, do kuchni, do sklepu, do parku, na boisko, do restauracji na obiad...”

Po zatłoczonych chodnikach miasta, omijając latarnie, dzłury, sygnalizując krawężniki, drzewa, stojące samochody pies

prowadzi nieszczęśliwego człowieka. Psu powierza on swoje życie.

Warto może wiedzieć, że pieski takie są specjalnie szkolone, że szkoły prowadzone są w wielu krajach m.in. w ZSRR, Francji, Anglii, Włoszech i USA. Oczywiście u nas też. W Szwajcarii działa organizacja „L'Oeil gui Volt” („Oczy, które widzą”) — dostarcza ona nie tylko psów, ale i doświadczonych instruktorów oraz materiały szkoleniowe z dziedziny przystosowania tych miłych zwierząt do roli przewodników.

Nie ma w tej chwili dziedziny naszego życia do której nie wtargnąłby pies. Na pierwszym miejscu stawiamy kosmos — podróże Łajki, Bietki, Strielki ale wcześniej w dziedzinie medycyny psy oddały ludzkości usługi rangi najwyższej składając dla jej dobra ofiarę najwyższą, ofiarę życia. Wielki fizjolog rosyjski Iwan Pawłow w roku 1935 doprowadził do odsłonięcia w Leningradzie pomnika psów umieszczając na nim taki napis:

„Możemy przynosić nauce w ofierze psa, który od niepamiętnych czasów jest pomocnikiem i przyjaacielem człowieka, ale godność ludzka nakłada na nas obowiązek oszczędzenia mu niepotrzebnych cierpień”.

Wielu fizjologów łącznie z

Dokończenie
na str.
4

WACŁAW BILIŃSKI

W ŚWIETLE BIAŁEGO DNIA

— Panie dyżurny, czy ja mogę z panem pomówić w cztery oczy? To sprawa osobista, znaczy, nie moja a mojej córki. Niech się pan nie dziwi, że ja płaczę. Co ma robić matka, jak coś takiego spotka jej córkę? Czy ja ją po to wychowałam, czy po to na nią chuchałam? Tak, dobrze, ja już jestem spokojna. Niech pan tylko słucha. Opowiem od początku, naprawdę, po prostu to wszystko w głowie się nie mieści. Boże, taka krzywdą! Taka straszna krzywdą! Więc ja zgłaszam panu, że tych dwóch, co mieszkają w famillaku, tu zaraz za rogiem, wie pan, jeden taki wysoki, nazywają go „Zezowaty” a drugi ma pseudo „Tomek”, więc oni mojej córce ukradli zegarek. Dobry szwajcarski zegarek „Delbana”. Nie, moja córka nie jest dzieckiem, to już mężatka. Zresztą ona tu jest przed Komendą, może ja zawezwać? Nie płacz kochana, ty nie płacz. Ona nie może mówić. Pan widzi jaka ona jest pobita. Niech pan popatrzy na ten siniak nad okiem. To te lobuzy ją tak pobili. Co pan mówi? Żeby od początku? Dobrze, ale chcę tylko w cztery oczy. Znacząc córka może być przy tym, ale żeby innych mężczyzn nie było. Pan rozumie, my nigdy nie mieliśmy do czynienia z milicją ani z żadnymi takimi sprawami, niech pan ma wzgląd na kobiety...

Tak, teraz ja mogę panu już wszystko szczerze opowiedzieć. Niech pan się wstać z naszą krzywdą, bo oni nie tylko ją pobili. I nie tylko ukradli jej zegarek i sprzedali na wódkę, ale potem jeszcze ją zgwałcili. Takie lotry! Mężatki! Z dzieckiem na utrzymaniu. Więc to się zaczęło wczoraj wieczorem. I wszystko przez tę koleżankę córki. Przyszła i dalej namawiała, że taka ładna noc, żeby na chwilę wyjść na spacer, że zaraz wrócą. Nie, męża córki nie było w domu. On pracuje na nocną zmianę. A ja co miałam powiedzieć? Dziewczyna cały dzień siedzi przy dziecku, pan to niby nie wie, jak taki szczęśliwiec? Wczoraj wieczorem, że to niby jej koleżdy, że tacy weseli i tacy grzeczni, i że pośmieją się, pożartują go-dzinke i zaraz wrócą. Boże! Jakże to dziewczęta są głupie. O tej porze — dała się namówić. A co z tego wyni-



Barbara Wrzeńska — aktorka warszawska — grała w filmie „Dwoje z wielkiej rzeki”

Foto. W. Rozmysłowicz

kło? Bó to są lobuzy. Sam pan powiedz, panie dyżurny, niby grzecznie się z nimi przywitali, posadzili za stołem. I zaraz buch! Wino na stół. A jak córka nie chciała pić, to niby żartami, a przymusił. A potem, że skończy tylko na róg i przyniosą jeszcze jedno wino... To córka wstała, że już musi iść. Na to ten zezowaty — „Nie, moja złota, nie puścimy, zdejmijmy z rączki zegareczek na zastaw, że nie uciekniesz. I na klucz zamknijemy w mieszkaniu. Poszli sobie obaj, i ta koleżanka, a córkę zamknęli i „Delbana” zabrali. Ona, sam pan widzi, panie dyżurny, takie ciele, do pięciu nie zliczy. To i nie wie co robić. A jeszcze jak na złość to wino jej strasznie do głowy uderzyło, jak zawsze wino z wódką. A wódkę tośmy pili niby na zgodę, jak mąż córki siedzi na zmianę. Pan rozumie, bo młodzi pokłócili się niedawno i samam im ciwartkę do kolacji posta-

Dalszy
ciąg
na str. 2

TADEUSZ PAPIER

BOTAGÓZ i DEMELA

(RZECZ O MIŁOŚCI)



Przedemną leży mapa Kazachstanu, w uszach mi brzmią wiersze pierwszego poety kazachskiego Abaja: „O biedny kraju mój, Narodzie mój biedny, Drog dobra nie wyróżniasz. Od ścieżek zła...” Ozywiają na mapie rzeki, pola, stepy, pewnie już świta, budzą się do życia jurty pastuchów, na dziwaczny, jak abstrakcyjna rzeźba, drzewie saksantowym siada jastrząb, nabierają wyrazu świerki na zboczach Altaju. Młodziutka Botagoz o oczach czarnych jak śliwki opiera się o skałę Ok-Zetpies, — której „strzała nie dosięga” — skała jest prosta i równa „niby ściana wielopiętrowego domu”. Na jej szczycie rosną sosny. U stóp rozłożył się aul „na zewnątrz cały, wewnątrz tylko dym”, jak opowiadał Kazachowie, kiedy chcieli pokreślić smutną dolę człowieka.

Daleka jest droga z Łodzi do Kazachstanu, gdzie Warszawa, gdzie Łódź, a gdzie Taszkient, Samarkanda, Alma-Ata, stolica republiki, Alma-Ata w rodzinnym, kazach-

skim języku znaczy „Ojciec jak Irtysz lub Amu-Daria? Istotnie, miasto jest otoczone wieńcem sadów jabłoni. Gdzie Wisła, a gdzie Irtysz i Zerawszam, gdzie Syr-Daria i Amu-Daria?

Cóż mnie skusiło, by jechać do dalekiego Kazachstanu, do tej „Azji odmienionej”, do kraju „gdzie jutro jest już dniem wczorajszym”, gdzie pustynie zamieniają na ogrody, gdzie stepowe ugory „głodne stepy” przeobrażają w urodzajne ziemie?

Nie miałem do rozwikłania żadnej tajemnicy. Czyżby jednak? Czyżbym nie znalazł żadnego pretekstu? Czyżby

nie mówiły takie nazwy jak Irtysz lub Amu-Daria? To tutaj, nad te rzeki car zyszał powstańców trzydziestego roku. O Kazachstanie znajdujemy liczne wspomnienia w pamiętnikach i relacjach tych zesłańców. O Kirgizji pisał wzruszająco Gustaw Zieliński, uczestnik powstania listopadowego, poeta, zesłany na Syberię. Daleko od rodzinnego kraju powstały jego utwory poetyckie, wśród nich poemat „Kirgiz” opiewający tragiczną miłość młodego Kirgiza (dawna nazwa Kazachów) do pięknej Demeli, córki jego najwięk-

szego wroga, bogatego naczelnika aulu. To temat, który jak powiada poeta „brzmi jak srebrna piosenka”. Czyż to nie temat! Prześledzić drogę poety zesłańca, odszukać tropy bohaterów poematu, bogatego Kirgiza Bija, ojca pięknej Demeli, która aby się przypodobać ukochanemu w koniec warkocza wplatała srebrne monety, wydające osobliwe dźwięki za najmniejszym poruszeniem głowy. A przecież to nie jedyny polski zapis literacki o tych stronach. Ileż bogactwa obserwacji, wiadomości znajdujemy w pracach Adolfa Januszkiewicza, również powstanie, badacza folkloru, języka, obyczajów ludów azjatyckich. Polak Zatajewicz — to już osobny rozdział. Zatajewicz, który zebrał ponad dwa i pół tysiąca kazachskich pieśni, ocałił je przed zapomnieniem, toż to Kolberg tameczny, który w końcu ubiegłego wieku przewodził wzdłuż i wszerz Kazachstan, jak Gorki Rosję. „Chylę

Dokończenie na str. 7

JEDENASTU

Prostych żołnierzy jedenastu —
Poczet doprawdy to niemały,
By czas przekroczyć i wejść w blasku
Tych legend, Ziemi wielkiej chwały!...
Każdy z nich młody był i śmiały
Jak Tengizbaju siwy sokół...
Wiatry ojczyste ich żegnały,
Gdy szli skroś stepy z ogniem w oku...
A spiesznie dzień po dniu dążyli
I swój rodzinny kraj chwaliłi,
Już wtedy wielkiej sławie mili.

Jest ów Stalingrad wielkim miastem —
Żyć mężnie — takie wydał prawa.
Zna je obrońców jego zastęp
I kiedy srogi wróg nastawał,
By zdlawić stopą gardło miastu,
To dzielny czuł do dzielnych zawiś,
Że pierś i dlonie mniej zakrwawił...
Rzeczce przybyłych jedenastu:

Lud w nasze dlonie złożył miecze.
Od dziś nad miastem mamy pieczę.
O nie, wstecz Wolga nie pocieże!

Straże na wzgórzu obejmują
Tych jedenastu dumnych zgonem...
I próżno, próżno wróg szturmuje.
Kiedy pierś ludzka jest bastionem.
Żelazny huczy wół od świtu,

Śmierć szuka lęku w młodych twarzach...
Wściekła, że niczym nie przeraża,
Ziemie podrywa do zenitu.
Uzбек ramieniem wsparł Uzbecka.
Ni dłoń nie zadrża, nie powieka.
Wstecz nie pocięła Wolga rzeka...

To wzgórze nie jest zbyt wysokie —
Lecz kiedy silniej wzrok nateżysz,
Nasz Wschód rodzinny, ziemia męcznych,
Przed tęsknym się rozwija okiem:
Niebo na skraju mleczno szare,
Kroczące zwolna karawany...
Spi dziecko w sadzie pod cizinarem,
Idzie ogrodnik zadumany
Z pustym koszykiem, u wrót żrebię
Pije ze źródła, nóżką grzebie.

Wróg nowy podjął szturm do miasta.
Wartkie, o, wartkie śmierci żniwa!
Ciągłe pod wzgórzem ciał przybywa,
Już zda się, stos ich szczyt przeraża.
W żrenicach iskra, w dloniach ogień —
Tak jedenastu walczy z wrogiem.
Tych jedenastu to lwy srogie.

Cóż proch, coż ziemi garść? — Drobnostka.
Z prochu proch nawet nie przysiąga.
Ale garść ziemi toż to wioska.
A rok — dzień bitwy o los miasta.
Zapomnij, że twój kraj ogromny —
Bo jeśli tyłem się odwrócisz,
To twój rodzinny kraj porzucisz —
A tyś bez niego kto? — Bezdomny!...
Więc czoło — wrogom, plecy — skalom...
Tych jedenastu, gdy zadniało,
Za kraj ojczysty życie dało...

Legenda twardsza jest niż życie.
Ojczyzna sprawą jest wieczności...

— Święty — powiada o tym szczycie
Matka — bo syna kryje kości!...
Już wieść rozeszła się daleko
O jedenastu synach Wschodu,
Jak fala mknie ku przyszłym wiekom
Wzruszać cichnące sny narodów.
Legenda stoi wciąż na straży
Wzgórza... I w pieśniach o nich gwarzy
Uzbek i Kazach i Tatarzyn.

przełożył TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

Współczesny poeta uzbecki, ur. 1909 roku. Autor ok.
dwudziestu tomów poezji, tłumacz na język rodzinny
dzieł Szekspira, Byrona, Lermontowa i Puszkina.



DO
REDAKTORA NACZELNEGO
„ODGŁOSÓW”

Ponieważ zostałem dość oso-
bliwie i ściennie zaatakowa-
ny w artykule pana dr Wł.
Bortnowskiego — „Bogaci re-
cenzji i ubodzy autorzy”
 („Odgłosy” nr 39 z 1. X. 1961)
i to w sposób — najogólniej
mówiąc — pozanaukowy — w
imie dobrych i uczciwych o-
bywateli dziennikarskich pro-
szę uprzejmie o zamieszczenie
niniejszego sprostowania.

Pan dr Bortnowski pelen
spóźnionego oburzenia wyra-
ża pretensje pod adresem mo-
jej recenzji z pracy „Ob. dr
W. Rostockiego „Władza wod-
zów w powstaniu listopadowym”
 (Wrocław 1955), w której
miałem pomóc się za-
jać „wyłącznie problemem
walk klasowych, chociaż było
to zagadnienie margineso-
we w dziele Rostockiego”. Dla
większej pewności doktor hi-
storii pan Bortnowski prze-
sunął o dwa lata tekst ogło-
szonej recenzji historii (na
1958) zapewne, aby zaintereso-
wane osoby nie mogły znaleźć
tekstu. Gwoli ścisłości podaje,
że tekst jest opublikowany w
„Czasopiśmie Prawno-Histo-
rycznym” 1956, t. VIII, z. 1,
s. 370-377.

Konia z rzędem nie obiec-
uję, ale stawiam butelkę naj-
przedniejszego szampa panu
dr Bortnowskiemu i powola-
nem jury przez redakcję
„Odgłosów” jeżeli znajdzie
w wspomnianej recenzji, moje
pretensje pod adresem
autora, iż nie uwzględnił „wal-
ki klasowej” (sic), z zastrze-
żeniem, że jeżeli owej „walki
klasowej” nie znajdziemy, to
bedziemy pili na koszt pa-
na dr Bortnowskiego.

Pan dr Bortnowski wie o
tym dobrze, że nie jestem
ani właścicielem, ani człon-
kiem redakcji CPH i że każ-
dy zgłoszony temat podlega
normalnej ocenie kwalifika-
cyjnej Redakcji. Wspomniana
recenzja została zakwalifiko-
wana do druku przez pana
prof. dr Władysława Soboc-
ińskiego i pana prof. dr Bo-
guśława Leśnodorskiego, re-
daktora CPH. Obaj profeso-
rowie są historykami prawa.
Autor monografii pan dr Ro-
stocki republikał na wspo-
mnianą recenzję w CPH t. IX.
1957 i otrzymał moją replikę
— zakwalifikowaną do druku
przez pana prof. Leśnodors-
kiego — w tymże CPH t.
X. Dalszej polemiki wymienio-
ny autor nie podjął.

Myślę, że pan dr Bortnowski
nie powinien był przemilczać
faktu, iż w moim „dorobku
całej serii miążdzących recen-
zji” ma swój skromny udział.
Jest współautorem recenzji o-
publikowanej w „Przeglądzie
Historycznym” nr 2 z 1958, s.
423-418, z pracy dr. T. Le-
powskiego „Warszawa w pow-
staniu listopadowym”. Pan dr
Bortnowski drwił się dłużej
pisał recenzję. Oddaje głos
panu prof. dr Janowi Adamu-
sowi: „Krytyka jest częścią
pracy naukowej w ogóle, za-
tem jest ona takim samym
obowiązkiem uczoności, jak

każdy inny rodzaj pracy nau-
kowej” (CPH, t. XII, 1960, z.
2, s. 125). Pan dr Bortnowski
ma głęboki żal, że nie piszę
recenzji „grzecznościowych”.
Rzecz ta wykracza już poza
ramy sporu: Zajewski — Bort-
nowski. To jest sprawa su-
mienności, rzetelności i uczci-
wości recenzenta. Prof. Ada-
mus bardzo pięknie pisze:
„Recenzje grzecznościowe to
już samo dno, niżej upaść nie
można” (tamże, s. 124). Nie-
szty, wielu autorów chce
namietnie pociągnąć za sobą
swoich recenzentów, opornych
usiłując wszelakim sposobem
złamać. Jakież przykre to wi-
dowisko, gdy młody autor za-
miast uciec się do meryto-
rycznej polemiki usiłuje tra-
fić recenzenta ciosem — naj-
ogólniej mówiąc — niżej pa-
sa.

Pan dr Bortnowski drwił się,
że dotąd nie mam w do-
robku naukowym pozycji książ-
kowej. Wie o tym doskonale,
że w 1960 referowałem na po-
siedzeniu LTN swą pracę
doktorską, która została przy-
jęta do druku, przydzielczo
mi 12 arkuszy. Na polecenie
prof. Adamusa złożyłem
streszczenie referowanej pracy
do Sprawozd. LTN. Decyzja
ta nie była jednak honorowa-
na i z przyczyn mi niewiado-
mych z planu wypadłem. Swo-
je zatem zdziwienie pan dr
Bortnowski powinien skiero-
wać — jeżeli dba o dobro
nauki — pod właściwy adres,
do osób bardziej kompeten-
tych od niżej podpisanego.

Ponieważ ostatnio ogło-
siłem artykuł polemiczny z pr-
cy doktorskiej pana Bortnow-
skiego w „Przeglądzie Histo-
rycznym” nr 2 z 1961 s. 338-
359, mam uzasadnione obawy,
że przez długie lata będę
paradował w artykułach dr
Bortnowskiego, jak Krywe-
Kryweje w felietonach Jana
Lamy. Zanoszę zatem prośbę
do pana redaktora o wykre-
ślenie niżej podpisanego z
odpowiednich felietonów
pana dr Bortnowskiego.

Łacze słowa szacunku
DR WŁADYSŁAW ZAJEWSKI
Gdańsk, 7. X. 1961.

* * *

W artykule „Bogaci recen-
zji i ubodzy autorzy”
m. in. poruszyłem problem
„zawodowych” recenzentów
podając jako przykład p. W.
Zajewskiego, który jak do-
tychczas jest autorem pięciu
„miążdzących” recenzji z
prac: W. Rostockiego, T.
Lepkowskiego, W. Lewan-
dowskiego, M. Kukiela, i W.
Bortnowskiego, a więc z wy-
jątkiem prof. dr J. Dutkie-
wicza, niemal wszystkich a-
utorów, którzy w ostatnich
latach publikowali większe
prace o tematyce związanej
z powstaniem listopadowym.

Nie jestem „współauto-
rem” recenzji z książki P.
Lepkowskiego WARSZAWA
W POWSTANIU LISTOPA-
DOWYM zamieszczonej w
„Przeglądzie Historycznym”
z 4. 1958, gdyż niezależnie od
p. Zajewskiego przelałem
maszynopis, a Redakcja dwie
samodzielne recenzje połą-
czyła w jedną całość. Zresztą
czytelnik łatwo wyróżni sam
oba teksty, które następują
bezsposrednio po sobie.

Faktem jest, że wszystkie
recenzje W. Zajewskiego ma-
ją charakter napastliwy i
autor ich lubuje się zwłasz-
cza w krytykowaniu nie te-
go co jest w książce, ale tego
co, jego zdaniem, być tam
powinno.

O metodach polemicznych
p. Zajewskiego świadczy
choćby jego list do redak-
cji „Odgłosów” gdzie pisze:
„... stawiam butelkę naj-
przedniejszego szampa panu
dr Bortnowskiemu... je-
żeli znajdzie we wspomnia-
nej recenzji moje pretensje
pod adresem autora (W. Ro-
stockiego — uw. moja), iż nie
uwzględnił walki klasowej
(sic)!”

A przecież pisałem w ar-
tykule właśnie o owej recen-
zji, coś wręcz przeciwnego.
Oto moje słowa:

„Pominał on (W. Zajew-
ski — uw. m.) zagadnienia
prawne, a więc aktywa pra-
cy, natomiast zajął się nie-
mał wyłącznie problemem
walk klasowych chociaż by-
ło to zagadnienie margineso-
we w dziele Rostockiego”.

Zestawienie tekstu i „po-
lemicznej” odpowiedzi m-
wią same za siebie, a zara-
zem ilustrują metody, które
stosuje W. Zajewski jako re-
gule.

Uważam, że miałem pełne
prawo podać, że Zajewski
nie ma w swym dorobku ani
jednej pozycji książkowej,
gdzie jest to zgodne ze stan-
em faktycznym. „Perypetie”
maszynopisu złożonego
do Łódzkiego Towarzystwa
Naukowego w nieczym tego
stanu nie zmieniają.

Uprzejmie proszę Czytel-
ników „Odgłosów” o zwró-
cenie uwagi na ton polemi-
ki, którą Pan Zajewski re-
klamuje jako „naukową”.

dr Wł. Bortnowski

* * *

Do Redaktora Naczelnego
„Odgłosów”

Z niezmiłąm zdziwieniem
przeczytałem w tygodniku
pańskim nr 40 (188) w rub-
ryce „Informacje i zapiski”
przypadek zaczepki dezinfo-
mującą czytelników „Od-
głosów”.

Osoba podpisująca się ini-
cjałami J.W. stwierdza, że
czytelnicy „Dziennika Łódz-
kiego” rzadko mają sposob-
ność czytać moje reportaże
i „Dziennik Łódzki”... „nie
chwycił takiej okazji”.

Stwierdzam, że nigdy nie
miałam trudności z publiko-
waniem reportaży na łamach
„Dziennika Łódzkiego” —
przebiegiem, spotykały się
one z dużą przychylnością.
Sądzę, że każdy autor ma
prawo pisać tyle słów o
swoich spostrzeżeniach do-
konanych na Czarnym Ła-
dzie, ile uważa za stosowne
— a tym bardziej ma pra-
wo wybierać sobie ten a nie
inny tytuł gazety bądź cza-
sopisma, w którym publiku-
je.

Sądzę, że pan Redaktor
nie omieszcza wynagrodzie-
ni tej niewątpliwie krzywd-
y moralnej, jaką sprawiła
mi niemila zaczepka na ł-
mach „Odgłosów”. Jedyną
formą „wynagrodzenia” jest
dla mnie w tym wypadku
publikacja niniejszego li-
stu, o którą proszę, wierząc
w sprawiedliwość i poczu-
cie godności Kolegium Re-
dakcyjnego „Odgłosów”.

Z poważaniem
Barbara Orłowska

Dalszy ciąg
ze str. 1

wiła, żeby już tej kłótni nie
było.

Więc ta moja nieszczęśna
córka siedzi tak w cudzym
mieszkanie zakluczona i wyjść
nie może, i strach bierze, że
jej „Delbanę” zabrali, ale
nie wie co robić, aż wreszcie
otwiera okno i wyskakuje
przez nie, bo to na parterze.
No, i biegnie do koleżanki,
którą żeby pan Bóg skarał,
bo to wszystko przez nią,
przez taką wywłóczkę. I
mówi jej, że tamci zegarek,
znaczy „Delbanę” zabrali. A
koleżanka córce na to, żeby
się nie bała, niech wraca i
niech odbierze zegarek, bo
oni pewnie tylko żartują. To
córka się rozplakała i już nie
wie co robić. A do domu boi
się wracać, bo ja łatwo z
nerv wychodzę.

No i z tej rozpacz, zro-
biła co jej tamta poradziła.
Wróciła do mieszkania tych
łotrów. A oni już przynieśli
wódkę i zakąskę i przypro-
wadzili jeszcze jakichś dwoje,
córka potem powie panu ich
nazwiska. No i zaraz zam-
kli drzwi na klucz i okno
zasłoniłi. I się śmieją, że to
wszystko żarty, że córka się
widać na żartach nie zna,
i że oni zaraz „Delbanę” od-
dadzą, ale pod warunkiem,
że z nimi wypije. A jak się
nie zechce, to i tak wódkę,
choćby siłą do gardła wleją.

I tak już poszło, zmusili
moje dziecko żeby piła, a jak
się bronila, to ten zezowaty
ją uderzył, sam pan widzi,
jaki straszny ślad, mógł
zabić. A potem zgasił świa-
tło, widać tak się umówili.
No, i reszty już nie muszę
panu opowiadać. Obaj ją
zgwałcili. Ja panu to mel-
duję, panie dyżurny! Czy coś
takiego może się dziać mię-
dzy ludźmi?

Dzień dobry panie mce-
nasie! Kogóż to bronił pan
dziś przed szaleństwami ślepej
Temidy? Ach tak, dwóch m-
łodych ludzi pomówionych...
fiu, fiu... to ciekaw! Szkoda
tylko, że nie się o tym nie
da napisać, bo rozprawa
oczywiście przy drzwiach
zamkniętych. Prawda? No,
proszę...

W tym mieście to dość
pospolity wypadek. Kto tutaj
przyniósł takie obyczaje? Czy
przyszły one wraz z robotni-
kami i-lwarczymi? Czy może
to tradycja majstrów i ich
klik? Pewien stary robotnik

opowiadał mi, że kiedyś był
nawet taki zwyczaj: — „Wi-
działeś majster tę ładną
nową? Trza by ją na nocną
zmianę... Może się da załat-
wić!”

A czy nie spostrzegł pan
mecenase, jak dużo jest
tych spraw ostatnio? Przy-
pomnę. Głośna sprawa w
środowisku intelektualnym.
Potem słynna „młodzieżówka”
z dziewięcioma jeśli pamię-
tam, oskarżonymi. No i całe
mnóstwo podobnych, jak ta.
Dużo tego. Ze wykrywalność?
E, chyba pan żartuje...

nym i interesom poszkodowa-
wanej?

I o tym, jaki to nasz ko-
deks karny jest liberalny w
porównaniu z wymiarem
sprawiedliwości innych kra-
jów, jak łagodnie traktuje
te sprawy. I jak to praktyka
sądowa niemal zawsze dzia-
ła w dolnej granicy jego
wskazań.

Och, tak, oczywiście: zda-
jemy sobie sprawę, że to
często pogranicze oszczer-
czego pomówienia, szantażu,
czy zemsty. Lecz w spra-
wach wątpliwych sąd prze-
strzega przecież zasady, że
wszystkie wątpliwości dzia-
lają na korzyść oskarżonego.

Ma pan jeszcze chwilę
czasu, mecenase? Wła pan,
już nieraz zastanawiałem się
nad sytuacją społeczną zgwał-
conej kobiety, która musi
dochodzić swej krzywdy. Niez-
upokorzeń ją czeka? Naj-
pierw zgłoszenie na milicję
— wybiorą pan sobie, ja-
kie to przyjemne, co? Potem
dochodzenie wstępne w MO
i badania w medycynie są-
dowej. Potem śledztwo w
prokuraturze. Wreszcie roz-
prawa. Wojna z obroną,
która wie, gdzie, kiedy i jak
skutecznie atakować. Kory-
tarz sądowy z tłumem cie-
kawych sąsiadów. Z „zycz-
liwą” rodziną oskarżonego.
Widział pan kiedy, jak po
wyroku matki skazanych na-
padają na korytarzu na posz-
kodowane?

Co z tego wynika? To
pan wie, mecenase, równie
dobrze, jak ja. Nasze prze-
pisy proceduralne tracą myś-
kę. I w sensie moralnym nie
chronią poszkodowanej. My-
ślę, że dlatego niewielki
procent tych przestępstw tra-
fia na wokandy sądową. A
wnioski są proste: oczywi-
ście, wadliwa procedura pra-
wna sprzyja nagminności
przestępstw!

Chociaż ma pan rację, po
co tragiczować. Świat i tak
się nie zawałi z tego po-
wodu. I to jest na pewno
bardzo pocieszające.

Szkoda, że już pan ucieka.
Więc wieczorem pijemy zdro-
wie naszej pocztowej Tem-
idy. No i podyskutujemy.
Oczywiście, dojdziemy osta-
tecznie do wniosku, że dzie-
wczyny powinny się więcej
pilnować. To przecież zale-
cają im moralizatorzy wszy-
stkich czasów. Ciekawa rzecz,
że jakoś bez szczególnych re-
zultatów. Ale w tym zapew-
ne urok dziewcząt, które lu-
bia ryzykować.

WACŁAW BILIŃSKI

W
ŚWIECIE
BIAŁEGO
DNIA

„UNITA”

O polskich filmach

Pod znanym tytułem „Odwaga i wieloznaczność polskiego filmu” zamieszcza włoski dziennik „Unita”, organ Komunistycznej Partii Włoch, omówienie przeglądu filmów polskich, jaki odbywał się niedawno w Rzymie. „Ogólne wrażenie odniesione z przeglądu jest pozytywne” — stwierdza na wstępie autor artykułu, Tino Argentieri. „Kinematografia polska jest żywotna i interesująca pod każdym względem... Twórcy nie cofają się przed podjęciem zadań, które czynią każdego artystę namiętnym i krytycznym świadkiem i sędzią swojej epoki”.

Problematyka polskich filmów uznana została za żywą i aktualną. Świadczy ona o klimacie pełnej swobody twórczej. Cechą wspólną łączącą prawie wszystkie dzieła stało się „przyjęcie krytycznej postawy wobec rzeczywistości”, chęć przewartościowania pewnych uświęconych pojęć „Wajda, Munk, Passendorfer, Kutz i inni nie lękają się najciemniejszych stron, najbardziej sprzecznych momentów budowy socjalizmu, rozumianej jako zjawisko dramatyczne, jako nieustanna walka nowego ze starym. W tym sensie wysiłki twórców polskich są godne uznania”, tym bardziej, że potrafili oni przełamać swoiste odizolowanie i włączyć się w ogólnoeuropejski nurt kultury filmowej. Niebezpiecznym natomiast zjawiskiem jest skłonność do zwykłego odwracania schematów. „Jeżeli wczoraj dla spokoju sumienia wystarczało malowanie rzeczywistości na różowo, dziś pełne zadowolenie daje zabieg odwrotny”. Nie chodzi tu bynajmniej o metodę analizy rzeczywistości, która nie może dać właściwych rezultatów skoro opiera się na pewnych z góry przyjętych założeniach.

„Paradoksalnie, twórcy polscy chcąc zbliżyć się do rzeczywistości swego kraju, w istocie błędzą w abstrakcji i gubią te konkretne elementy nieodzowne dla racjonalnej, krytycznej i historycznej oceny zjawisk tejże rzeczywistości. Nie przypadkowo w filmach Przeglądu przeważały deklaracje słowne, nastroje, humory nad ubogimi i często niejasnymi poszukiwaniami psychologicznymi i socjologicznymi”. I tu autor wymienia przykład „Zezowatego szczęścia” i „Powrotu”. Film polski zdradza również skłonność „do nieco prowincjonalnego naśladowania wzorów artystycznych zaczerpniętych mechanicznie z innych kinematografii. Niebýt szczęśliwy wybór tych wzorów dyktowany bywa często modą, snobizmem lub powierzchownym zachwytem w świecie filmu. Należy wykazać większą świadomość w ocenie i wyborze ostatnich osiągnięć kinematografii”.

M. K.

EWA SULIBORSKA

„Taka miłość”

Paweł Kohout melodramatyczną opowieść o nieszczerliwej miłości jasnowłosej studentki prawa do żonatego docenta uniwersytetu przypisał na sposób współczesny. Brukowo-sentymentalna, uświęcona tradycją od Dumasa historia, poddana została zabiegom zgodnie z gustem naszej epoki. Kohouta bowiem nie interesują miłosne perypetie bohaterów, choć Lidia i Piotr ko chają się w sposób szlachetny i wzniosły. W centrum zainteresowania autora „Taki miłości” jest tylko tragiczny epilog miłosnej historii — samobójcza śmierć dziewczyny. Ona służy mu za punkt wyjścia.

Przedstawiając przez jej pryzmat fakty, cały spłót wydarzeń szuka w nich przyczyn, które skłoniły dziewczynę do popełnienia samobójstwa. Znajdują je, rzecz oczywista, w panujących stosunkach moralno-obyczajowych. Za śmierć dziewczyny czyni odpowiedzialnymi wszystkich tych, którzy te normy utrwalają: matkę dziewczyny, bo zgodnie z panującym obyczajem chce dobrze wydać córkę za mąż, Piotra — bo nie może normom tym się przeciwstawić, dziekana i kolegów Lidii — bo ją osądza; narzeczonego i jego matkę — bo ich egoizm jest bezpośrednią przyczyną tragedii.

Sztuka Kohouta, grana także i w Łodzi obraca się w kręgu charakterystycznej dla literatury początku XX wieku, problematyki. Także jej moralizatorstwo i propozycje z kręgu tej literatury się wywodzi. Tylko forma, jaką posłużył się autor „Taki miłości”, zrecznie podchwytująca medne w teatrze w latach międzywojennych awangardowe sposoby „przedstawiania” epa-

tuje współczesnością. W gruncie rzeczy bowiem Kohout nie ma na temat problemów współczesnej młodzieży nic do powiedzenia. Podobnie, jak nie ma nic do powiedzenia na temat problemów współczesnego życia Zręczna mistyfikacja jakiejś nas w „Taki miłości” podaje, jest intelektualnie mialka. W tej mialkości intelektualnej sztuki widzę zasadniczą przyczynę niepowodzenia Jerzego Weissa. Wierne przenosząc na ekran „Taka miłość” nie wyposażył ją w treści, które usprawiedliwiałby stosowaną w filmie stylizację. Zachowanie postaci narratora w prokuratorzkiej tożsakość zaważyło bardzo na charakterze filmu. Obiektywizacja, którą dzięki niej uzyskiwały wypadki w teatrze, dla potrzeb filmu okazała się zgnębna. Weiss zaplatany w „teatralność” zgubił gdzieś całą konieczną w filmie podejmującym tego typu problematykę — oskarżycielską pasję. Nakreślił film preten-sjonalny, nieznoszący retoryczny. Film kokietający widza tylko formą.

Obserwujemy więc najazdy kamery, efektowne zbliżenia — cały kunszt sztuki operatorskiej naszych czasów wykorzystany w filmie z dużą kulturą, z zachowaniem miary i dobrego taktu. Stylizacja i umowność zaciążyła też na aktorach, niestety, tylko bez widocznej potrzeby. Maria Tomasova, Vladimir Raz, Miłosz Nedbal prezentują trudne dziś do przyjęcia nawet w teatrze „przeżywiania” i „bebech”. Kameralność, rozgrywanie wszystkich niemal scen to co charakteryzuje twórczość Weissa i co doprowadzone jest do mistrzostwa w „Roméo, Julia i ciemność” odnajdujemy wprawdzie „Taki miłości”, niestety, tylko bez koniecznej prostoty.



EWA OSTROWSKA

„W świetle neonów”

Pamiętacie naszą Ewę, która chciała koniecznie spać? Otóż historia ma się podobnie, tylko o wiele ciekawiej. Młoda prowincuszka gubi się w wielkim Sztokholmie i przeżywa bardzo długą noc przedziwnych przygód, z tą zasadniczą różnicą, że szwedzki odpo-

wiednik naszej Ewy zupełnie nie chce spać i robi wszystko, aby nie znaleźć się przed ranem w rodzinnym domu. Prawda, inaczej nie byłoby filmu pt. „W świetle neonów” i my stracilibyśmy okazję śledzenia wysiłków Larsa Kjellgrena scenarzysty i reżysera w jednej osobie, dążącego do zagmatwania i uduśniania fabuły, co — trzeba przyznać — udaje mu się znakomicie osiągnąć.

Szwedzi pasjonują się sym-boliką i patalogią sytuacyjną. Spora dawka powyższego aplikuje widzowi (niestety, nie tylko szwedzkiemu) konsekwentnie reżyser. Scenariusz komedijki zakłada bowiem istnienie niewinnej, naiwnej, ślicznej dziewczyny nieobeznanej z niebezpieczeństwami wielkomiejskimi i chłopaka — z przypadku złodzieja walizek i auta, z zawodu tokarza, a z ambicji kompozytora jazzowego oraz splotu zdarzeń i konfliktów jak pierwsza miłość, zazdrość, policja, pościgi, pocałunki, wyznania, wybory królowej „rocka” — kompozycja jego, ona wybrana; próby uwiedzenia jej przez aktora przystojniaka — na szczęście przeszkadza niespodziewanie żona; mordsterwo na tle zazdrości — na szczęście zabito uława! jedynie zabitego dla dobra jego i jej.

To wszystko skomplikowane przez cały szereg pojawiających się w tajemniczych osób: somnabulicznych filmowców krejących nocne sceny do somnabulicznego filmu i ją nagle porzycia supersomnabuliczny reżyser,

ale czuwa dobry sędza (którego gra znany nam z bergma nowelskich filmów znakomity Gunnar Björnstrand) w czarnym ubraniu i z białym pieskiem wprowadzonym na ekran irracjonalnymi środkami, ponieważ nie wiadomo jak, kiedy i skąd szwedzka Ewa tańczy z nim — na środku pustej ulicy i wcale nie w świetle neonów, ale raczej księżycu — romantycznego walca. Po czym sędzia recytuje jej pouczający, filozoficzny w treści wierszyk o karze, nagrodzie i życiu. W analogiczny sposób Lars Kjellgren przedstawia jeszcze kilka innych postaci, których identyfikacja następuje trudności nie tylko widzowi lecz i samej parze bohaterów.

W końcu zło — chyba zło? — zostaje pokonane przez — ??? — powiedzmy urok dziewczyny — nawet policjanci miękną i okazują się niesłużebistami — zaś zazdrosny chłopak, którego gra fatalnie Lars Ekborg, żegna ją słowami „Będę czekał jutro rano na ciebie”; i dziewczyna nareszcie idzie spać. A my wychodzimy z kina nie wiedząc: co do licha chciał nam zakomunikować reżyser. Bo ani Gunnar Björnstrand, ani uroczą i poprawną aktorkę Mariannę Bengtsson nie zdołali wyjaśnić choć w części realizatorskich zamierzeń Larsa Kjellgrena.

MIESZANKA FILMOWA

MIESZANKA FILMOWA



popularny aktor francuski Gerard Blain poślubił niedawno młodą malarzkę Monikę Sobieską, wywodzącą się z prostej linii od naszego walecznego króla Jana. Gwoli zadośćuczynienia narodowym ambicjom publikujemy zdjęcie młodej pary

odpTosy 3

Rumunia

Osobliście wolałbym reportaż. Albo też sprawozdanie z podróży. To nie znaczy, że chcę w jakikolwiek sposób pomniejszyć znaczenia tego rodzaju wydawnictw, co książka Janiny Kremky-Saloni o Rumunii. Wypowiadam tylko swoją — i myślę — że większość czytelników opinie. Opowiadałam się za reportażem a nie podręcznikiem. Za ciekawym opisem podróży, relacjami ze spotkań z ludźmi. „Rumunia” p. Kremky-Saloni dowodzi, że materiał i to sensacyjny (w najlepszym tego słowa znaczeniu), który wprost leży, jak się zwykło mówić, na ulicy, jest w tym ciekawym kraju pod dostatkiem. Frazując tematy można znaleźć nie tylko w śladach, które zostawiła prehistoria i starożytność, przynosi je każdy dzień, spotyka się je w każdym mieście, w każdej wsi.

Ale to jest tylko moje prywatne zastrzeżenie. „Wiedza Powszechna” w serii bardzo zresztą interesującej zamówiła także podręcznik o Rumunii. Trzeba tu natychmiast dodać: zwyciężył podręcznik. Chcecie Rumunii, no to ją macie; opiszemy ją. A więc położenie i obszar, różnorodność krajin geograficznych, bardzo interesujące kartki z historii Rumunii o władzy ludu, mieszkaniach, gospodarce i kulturze. Książka posiada przejrzysty układ jest bogato ilustrowana. Cóż jednak, skoro poszczególne zagadnienia z konieczności podane są skrótowo (jakże inaczej na 170 stronicach!); weźmy dla przykładu choćby rozdział o kulturze, gdzie na omówienie literatury malarstwa, muzyki, teatru, kina i prasy (także twórczości ludowej) zostało zaledwie 3 stroniczki. Czy w tych warunkach można się ustrzec sloganowych sformułowań?

Opowiadałam się więc w przyszłości za reportażem literackim. Za serią reportaży. Czy występuje przeciwko? Idei podręczników? Nie. Ale jeśli autor podręcznika zmuszony jest do operowania skrótami, nie dozwalać im na poważniejszą analizę? Wolę jednak reportaż, który bardziej przybliży kraj i ludzi.

T. D.
PS. Dlaczego tak mały nakład 2000 egz., skoro książka przeznaczona jest raczej dla bibliotek szkolnych? Pozazdrościć i pogratulować szaty graficznej! Wspaniały papier (druk. mat. III kl.), ilustracje na wkładkach rotograviurowych, przejrzysta czcionka, wyraźny druk zasluga Łódzkich Zakładów Graficznych na PKWN).
Janina Kremky-Saloni „Rumunia” Wiedza Powszechna 1961

Panie Redaktorze

W numerze 33 (186) „Odgłosów” ukazał się wywiad z kierownikiem artystycznym Teatru Powszechnego p. Romanem Sykałą. Przeprowadzający wywiad, pan X (niestety, nie podpisał się pod swoim dziełem) przekraczając fakty, podane mu przez p. Sykałę napisał, że wyjeżdżam z Łodzi na „praktykę reżyserską do Szczecina”.

Ponieważ wiadomość ta jest niezgodna z prawdą chciałbym wyjaśnić co następuje: praktykę reżyserską odbyłem dość dawno, bo w latach 1954-55 w teatrze „Wybrzeże” i w paru teatrach Związku Radzieckiego. Do Szczecina wyjeżdżam, by objąć tam w nowym sezonie etat stałego reżysera miejscowych teatrów dramatycznych.

Uprzejmie proszę o łaskawe zamieszczenie mojego sprostowania na łamach „Odgłosów”.

Z poważaniem
Ryszard Sobolewski

str. 4 **odgłosy**

Arystarch

Literatura i socjologia

Każdy przedwojenny numer „Wiadomości Literackich” zaczytałem czytać od końca, tzn. od przedostatniej względnie, od ostatniej stronicy, tej na której znajdowała się „Kronika Tygodniowa” Antoniego Słonimskiego. Dzisiaj „rzucam się” w podobny sposób na „Przegląd Kultu-ralny” zaczynając lekturę od felietonów Andrzeja Kijowskiego. Zdać sobie sprawę, z tematycznej różnicy, dzielącej felietony

Słonimskiego od felietonów Kijowskiego. Mają one jednak pewną wspólną cechę: są interesujące. Powiem więcej: są pasjonujące i mogą doprowadzić czytelnika do czegoś w rodzaju euforii (gdy czytelnik aprobuje

śmiało konstatacje autora), jak i do czegoś w rodzaju „białej gorączki”, gdy czytający protestuje przeciwko zbyt śmiałym sformułowaniom. Ale w tym miejscu Kijowski mógłby odpowiedzieć, że „ryzyko jest cnotą humanisty”. Zebrane felietony w „Miniaturach krytycznych” to książka dla wszystkich, którzy albo czytają z naboju, albo — „do poduszki”, ale szczególnie, książka dla socjologów i po-

listów. Napisałem „dla socjologów” i gdyby ode mnie zależało nominacje naukowe i rozdawnictwo katedr, przydzieliłbym Kijowskiemu katedrę socjologii. Wystarczy wyliczenie tematów, poruszonych w „Miniaturach” z socjologicznego punktu widzenia, a więc: o przyczynach lekceważenia przez snobów rodzimej twórczości (Kijowski tłumaczy to tym, że gust snobów przewyższa ich możliwości twórcze u pisarzy, a możliwości paracepyjne u czytelników, dlatego nie rozumiejąc obcych, importowanych tendencji artystycznych, zachłystują się lekceważąc jednocześnie literaturę własnego narodu), o literaturze jako o wielkim przemyśle narodowym i wielkim handlu (autor „Miniatur” przestrzega przed traktowaniem literatury dużej klasy, jako zjawiska jedynego, i zapomnianiu o literaturze użytkowej), o groźnej sytuacji lite-

ratury rodzimej, wystawionej na niebezpieczeństwo zalewu przez tłumaczenia. („Martwy się o to, aby literatura tłumaczona nie wyrzuciła go — pisarza polskiego — zupełnie z krajowych księgarni i domowych bibliotek”), o miejscu i znaczeniu literatury w dzisiejszym życiu, literatury, „która przestała być narzędziem pedagogiki społecznej — stała się głosem mas” itd.

Kijowski nie tylko poddaje krytyce szereg objawów naszego życia literackiego, lecz również postuluje: „Uważam, że współczesna sytuacja naszego kraju sprzyja wykrystalizowaniu się u nas nowego typu powieści, różnej od socjalistowskiej, po-

mem atakowano samą zasadę typowości”. Najśmieszniej jednak przemawia autor „Miniatur” w tych fragmentach, w których wyraża troskę i obawę o przyszłość naszej literatury. Książka ta jest aktem oskarżenia przeciwko zadufanym krytykom, którzy nie dają czytelnikom tego co pragną. Skoro literatura nie może nam wyjaśnić wielu współczesnych dręczących nas problemów, to niechże chociaż krytycy usiłują wytłumaczyć, że różnych „rozpacz egzystencjalistycznych” poniekąd autorów nie należy brać zbyt serio, lecz traktować jako lekturę „z przymrużeniem oka”. Te i wiele innych fragmentów rozrzuconych obficie na kartach „Miniatur” w trosce o przyszłość naszej literatury, nadają książce Kijowskiego obok jej wartości literackiej rangę dzieła o poważnym znaczeniu społecznym.

Na psa urok...

5. Polski owczarek podhalański. Ten znów latem się nie czuje w centralnej Polsce. Jest mu za ciepło, bywa leniwy i sen-

A zatem owczarki alzackie, popularne zwane wilczurami dźwierzą u nas palme pierwszeństwa w zawodzie psów obronnych.

Łódzka milicja ma tych psów kilkadziesiąt. W każdym komisarzacie dzielnicowym pełnią one służbę. I to jak! Nie chcemy tu powtarzać popularnych już w Łodzi przykładów, ale jeden warto przypomnieć. Mianowicie potomek słynnego „Wichra” z „Ulcy Granicznej” „Jarzqb” dał sobie radę z przemyślnymi przestępcami, którzy po „obrobieniu” magazynu w zakładach Strzelczyka zatarli ślady spirytusem skażonym.

Spójrzmy teraz na stadion zalany słońcem jesiennego popołudnia. Na nim przeszkody, płoty, rusztowania, drabiny, pionące obrycze. To wszystko czeka na psieki. Rozpoczyna się popis. Tysiące ludzi zachwycone psią zmyślnością biją brawa. Za piękne skoki przez płoty, za to że psieki nie boją się ognia, za to że rozpoznają przedmioty należące do obcych, za to że na komendę dają głos, stoją, siadają, leżą, człogały się. Za to, że rzucają się na osobę wskazaną jako przestępcę, że przytrzymują „nielegalce”. Słowem za wypełnianie wszystkich 21 przykazań, które zawiera regulamin amatorskiego trenowania psów obronnych. Należy przypuszczać, że trenera milicji na ma ich nieco więcej.

Ludzie chętnie słuchają opowieści o psiej szkole. O tym, który psiak miał tam same dwóje, a teraz prosię skacze na płatkę. Ostatecznie, myślę sobie z tą szkołą jest tak jak u ludzi. Ale czy ze wszystkim tak jest? Czy na przykład na wyborach łódzkiej MISS PIĘKNOŚCI stosuje się tak ostre wymogi jak na konkursach psiej urody? Popatrzcie. Oto zasady punktacji psów na wystawach:

Głowa	— 5
Oczy	— 5
Kolor	— 10
Uszy	— 5
Tulów, biodra, zad	— 20
Szczęk	— 10
Nos	— 5
Zęby	— 5
Nogi i stopy	— 10
Szyja i łopatki	— 10
Sierść	— 15
Razem	100

Oh, pieskie życie!

A do tego, żeby być porządnym psem trzeba mieć — proszę państwa — charakter! Trzeba być odpowiednio wrażliwym, pojętnym, mieć dużą odwagę i ciekawość, należytą odwagę i nerwowość, być przywiązany do właściciela i nieprzekupny, nieufny wobec osób obcych... Oj, czy to nie za wiele jak na psa?!

A tak rzadko się zdarza by pies dostał medal... Atkinson w opowiadaniu pt. „Bobiak od Franciszkanów” mówi o skye-terrierze, który po śmierci swego pana całe dnie spędzał na jego grobie i za wierność został w roku 1867 honorowym obywatel-em Edynburga. Doczekał się nawet po swojej śmierci pomnika...

Czy ludziom można jednak wierzyć skoro jeden z największych miłośników psów człowiek, który postawił angielską kynologię na pierwszym miejscu w świecie Charles Cruft nie miał własnego psa. Jedynym jego ulubieńcem był kot..

Stare polskie porzekadło mówi jednak: „Był swemu psu i nogę uciął, przecie za tobą pójde...”

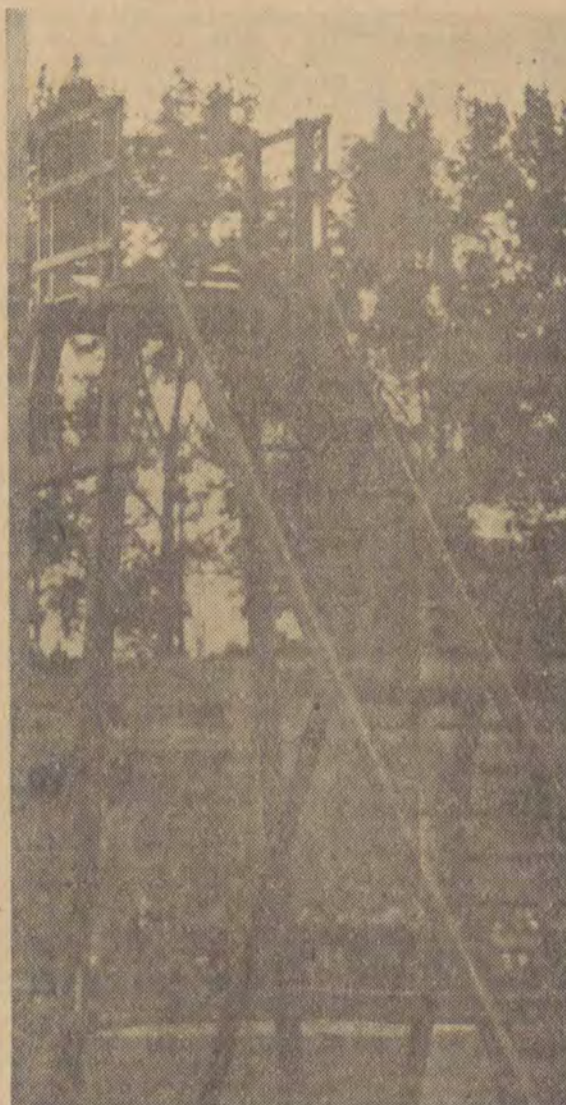
Pamiętajmy o tym.

Tekst i zdjęcia

W. MACHEJKO



Za chwilę pies zaatakuję „przestępcę”. Ten skafanderek chroniący przed zębami milicyjnego owczarka waży 70 kg.



„Jarzqb” na drabince..

Dalszy ciąg ze str. 1

Pastorem prowadziło doświadczenia z psami by przez analogię móc poznać działanie wewnętrznych narządów człowieka. Pawłow jednak dowiódł, że te doświadczenia można prowadzić ilikwidując do minimum dręczenie zwierząt...

Ale nie tylko w zaciszach sal operacyjnych psy poszerzyły horyzonty różnych dziedzin medycyny, przyczyniając się do ratowania swego najbliższego przyjaciela — człowieka. Oto poła walk wojny światowej pierwszej i drugiej. W służbie sanitarniej, w służbie łączności, przy wyszukiwaniu min, na zwłazdzie widzieli psy. Widzimy je na białych bezdrożach północy, gdy ełagną sanie i nieomylnie orientują się w położeniu, kiedy zawłócił człowiek ze swą wiedzą i mapami. Widzimy je kiedy ze śnieżnych lawin wygrzebują ofiary górskich wypraw, a także gdy pilnują bydła, aportują upolowaną zwierzynę, gdy bawia się z dziećmi nieraz ratując je z groźnych opresji...

A mimo to człowiek ma w swym słowniku takie porzekadło jak „zbić kogoś jak psa”, „psie głosy nie pójda pod niebiosa”, „pieskie życie”, „kiedy ktoś chce psa uderzyć zawsze łaj znajdzie...”

Okaże się, że ród ludzki jest jeszcze stokrót bardziej niewdzięczny, kiedy do tej wyliczanki dołączymy cały wielki dział, który można nazwać „pies naszym obrońcą”.

Tu jest mowa o psach w służbie milicji, choć wiele psów obronnych żyje i w prywatnych właścicieli. Właśnie nie tak dawno na stadionie „Wiśniarza” mogliśmy oglądać popis psów milicyjnych. Zanim jednak powiemy coś na ten temat słowo o psach obronnych w ogóle.

Policeja wszystkich krajów korzysta z usług psów obronnych i śledczych. Te ostatnie wyznaczone z grupy psów obronnych przeznaczone są głównie do śledzenia za tropem przestępców. Pies obronny jednak...

Ale zaczniemy od początku. Wiele do tego celu używa się głównie psów pięciu ras:

1. Owczarek alzacki. Najpopularniejszy. Pojętny w tresurze. Odporny, odważny, wytrwały, wierny, nieprzekupny. Ma silny węch, wspaniały słuch i inteligencję.

2. Alredale-terrier. Przez swe kędzierzawe owłosienie nie nadaje się do pracy w polu i lesie. Używany był w czasie ostatniej wojny przez armię kanadyjską jako pies służbowy.

3. Bokser. Niestety, wrażliwy na zimno i niepokodę.

4. Doberman. Też mało odporny na wpływy atmosferyczne ze względu na krótką sierść.

ZANIM ZNIKNA W TEMIE CHYBOTLIWE „LELE“

O CO LATWO, O CO TRUDNO. — JESZCZE O PRZEWOŹNIKACH Z AKRY. — DWIE STRONY MEDALU INWAZJI DO MIAST. — PROJEKT RZĘKI WOLTA. — PRZECIW I ZA. — NABRZEŻA! — SŁUCHAJCIE! — NABRZEŻA!

Losy imigrantów do miast i naczej ukladają się w Europie, a i naczej w Ghanie. Weźmy na przykład Polskę, kraj rozwijający przemysł w tempie bardzo szybkim. Trudno się osiedlić w wielkim mieście polskim z uwagi na ciasnotę mieszkaniową, o pracę natomiast łatwiej. W Akry bywa na odwrót. Prastary obyczaj nakazuje przyjąć krewnego, chociażby nie miało się ku temu warunków; w budce z dyktu zawsze znajdzie się miejsce dla krewniaka, który postanowił naraz przedzierzgnąć się w miejskiego człowieka. Tam, gdzie spalo dziesięć osób, będzie spać jedenaście — i sprawa załatwiona. Z pracą natomiast gorzej...

Obserwowałem nieraz w porcie werbunek wioślarzy. Znać może emocjonujący film dokumentalny Jaworskiego o „przewoźnikach z Akry“. O nich właśnie chodzi. Port w Akry jest płytki, statki oceaniczne stoją na redzie w odległości dwóch — trzech mil od brzegu. Ładunek trzeba przewozić łódkami przypominającymi pirogi, motorówek nie ma. Jedenastu wioślarzy siada do takiej „lele“ i gna co prędzej pod statek aby w pierwszej kolejności chwycić partię towaru. Pracuje się na akord, zajęcie to wymaga ludzi silnych i zdrowych, gdyż czasem wypada zrobić po 15 sześciomilowych kursów dziennie, plus za każdym razem wyładowanie towaru z łodzi do magazynu. Zatoka zazwyczaj wzbudzona, ciężko małymi wiosłkami utrzymać „lele“ na kursie, ciężko później z workiem lub skrzynią na głowie brnąć po rozmoakłej plaży, rytmiczny śpiew dodaje trochę ducha, ale mimo to pot zalewa oczy w sensie jak najbardziej dosłownym. Zdawałem sobie zawsze sprawę, jak bardzo anachronicznym środkiem komunikacji jest „lele“. A przecież lubilem nią pływać. Wioślarze nucili zawsze rodzaj monotonnej ballady w rytmie zgodnym z rytmem fali. Ponieważ nie rozumiałem ani słowa, mogłem wpisywać sobie w tę mamrotaną dowolną treść. Siedzący na przedzie wioślarz głośniejszym akcentem pieśni sygnalizował zbliżanie się każdej większej fali, a wtedy wiosła uderzały mocniej, „lele“ wskakiwała chyżo na grzbiecie balwana, dokonywała przeróżnych wolt i manewrów, wynurzała się nawet wtedy, gdy wydawało

się to zupełnie niemożliwe. Ale ileż to kosztowało wysiłku! Brzuch wioślarza jest wypukły jak u kobiety w ciąży, mimo iż nie ma na nim ani grama tłuszczu; od wiosłowania w pozycji siedzącej tworzy się tam kłęb mięśni o nieprawdopodobnych rozmiarach. Jedna nowa wioślarza stała w powrozie (konieczne dla uzyskania oporu i równowagi) twardy sznur ściera ją do krwi...

Praca potworna, praca poszukiwana, ponieważ stosunkowo dobrze płatna. Za jeden kurs, tam i na powrót, wioślarz otrzymuje jednego szylinga i jednego pensa. W ciągu dnia może zarobić 15 szylingów. Wprawdzie paczka papierosów kosztuje 3 szylingi, koszula w przywo-

wał co kilka sekund ostrzeżenia:

— Wave... wave... waves!

I naraz stało się to, czego się obawiałem. Potężny zwal wody zdmuchnął jednego z wiosłujących na przedzie. Drugi wyskoczył za burtę spiesząc mu z pomocą. Dwie czarne głowy ginęły wśród kłębów wiatru i piany. Reszta odłożyła wiosła, ale nikt nie zwracał łodzi, nikt nie zdradzał zaniepokojenia. Zapytałem, dlaczego do nich nie podrywają.

— O, wrócą sami — powiedzieli spokojnie.

Wrócili. Wgramolili się przez burtę i wtedy sprawa się wyjaśniła. Nie był to żaden nieszczęśliwy przypadek; po prostu wiatr stracił tamtemu wioślarzowi brezentową czapkę do wody, trzeba było ją wyłowić. Taka czapka kosztuje! Chyba że trzy szylingi! A że się trochę przy tym narażali...

I tak oto wygląda cena



Typy ghańskie

itym magazynie 40 szylingów, buty zaś 70 — ale niekoniecznie przecież trzeba palić, a chodzi się zazwyczaj boso. Rosną więc ogonki przed portowym biurkiem pracy, ochotników przyjmuje się według pewnej kolejności, ustalonej przez związki zawodowe. Rotacja bywa zresztą szybka, bo przepuklina i gruźlica w błyskawicznym tempie dziesiątkują szeregi wioślarzy.

Miałem kiedyś okazję zaobserwować, jak bardzo wioślarze cenią sobie zarobione grosze. Płynęliśmy przy wyjątkowo paskudnej pogodzie, przybojowa fala rzucała „lele“ jak ping-pongową piłeczką. Nie śpiewało się już nawet ballady. Wioślarz prowadzący wykrzyki-

pracy, wartość pieniądza, tak wygląda wielkomięska SZANSA w zestawieniu z rzeczywistością. Dobrodziejstwa cywilizacji wypada narazie oglądać przez szybkie.

Mogłoby to wszystko zakrawać na zbiorowe szaleństwo, gdyby nie pewne fakty, których jeszcze nie brałismy pod uwagę i o których nie myślał zresztą wielbiciel futbolu i barów. Powiedziałem przed chwilą, że o wyżywienie łatwiej na wsi niż w mieście, ale to nie jeszcze nie znaczy. Nie wynika z tego wcale, że wieś ma przed sobą optymistyczną perspektywę, że właściciel dwukrotnego pola ma już żoładek solidnie wyładowany. Czarna Afryka nie dojadła w całości, i na wsi i w mieście, wyjąwszy oczy-



wiście — w wypadku Ghany — plantatorów kakao. Przyrost ludności w Afryce Zachodniej odbywa się w rytmie 1,5 proc. rocznie, nieznaczny, ale istniejący jednak rozwój zdrowia sprawia, iż śmiertelność poważnie się zmniejsza. Obliczono, że jeśli tak dalej pójdzie — za 24 lata na wsłach zabraknie ziemi użytkowej dla nowych rolników. Jeżeli więc nawet dzisiaj lepiej się zje na kilkukrotnym poletku niż w miejskiej leplance — to nibawem sytuacja może radykalnie się odwrócić...

W sumie — jak gdyby błędne koło. Wielka inwazja do miast wydaje się raz nie-rozsądna, innym razem uzasadniona w perspektywie przyszłości. Coś przypominającego podświadomą ucieczkę ludzi z tonącego okrętu na okręt przeladowa-



ny, który jeszcze nie ruszył w drogę. Istnieje jednak pewna możliwość utrzymania tego drugiego na wodzie. Ratunek chyba tylko w rozbudowie przemysłu, z czego władze niepodległej Ghany dobrze zdają sobie sprawę. Plan industrializacji już istnieje — przed ludnością przeludnionych miast i węgających wsi otwiera się nie marzycielska, ale realna szansa.

Realna — ale czy bliska?

W ośrodku informacji prasowej otrzymałem skierowania do ministerstw i urzędów, które miały mnie poinformować o stanie rozbudowy przemysłu. Ale nie poszedłem tam, nie skorzystałem z oferty. Ani Akra, ani jej najbliższe okolice nie są strefą dynamicznych komi-nów. Obserwator powierzo-chowny, przyzwyczajony do pejzażu przemysłowego Europy, gotów byłby przysiąc, że w Ghanie nie ma w ogóle ani jednej fabryki! To oczywiście złudzenie; są, ale raczej na miarę zachłanności warsztatów, drobnych zakładów rzemieślniczych. Po cóż jednak pisać o tym, co nie odgrywa i nie może na razie odegrać decydującej roli w ekonomicznych stosunkach kraju? Pięcioletni plan rozwoju Ghany (1959—1964) przewiduje wprawdzie budowę kilkuset nowych zakładów przemysłowych — fabryk zapalek, mydła, bro-warów, warsztatów mechanicznych — lecz, jak z powyższego widać, nie są to poczynania na przełomową skalę. Czyżby więc zrezy-nowano z jakichkolwiek szerszych ambicji industrializacyjnych?

Ależ skąd! Jest przecież tak zwany Projekt Rzeki Wolta, zamierzenie, nad któ-

ASKAD MUCHTAR

W uliczce okolonej zielenią i mrokiem
Stoi domek ciekawy. Lyska rzedem okien —
Dzielo mistrza znacznego — znak, że się rozrasta
I zarazem ozdoba hutniczego miasta.
Na szklach okien, na ramach błękitnych i wąskich
Niż księżyc czinaru czarnego gałązki...
Tutaj mieszka Szamurad. Zapewne go znacie —
Jest to bowiem najlepszy hutnik w Begowacie.
Już przeminął dzień pracy i oto wieczorem
Wypoczywa przegięty przez balkon poręcz.
Miasto w całej swej krasie u nóg mu się ściele —
Plomień pieców bajeczny, sadów bujna zielen...
A ten patrzy w zadumie na lunę w oddali
Świeżej, uzbekiej, przezeń wytopionej stali.

przekł. TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI



Askad Muchtar — współczesny poeta uzbeki, ur. w r. 1921. Z szeregu zbiorów poezji duże uznanie zdobył jego poemat — „Stalownik“.

rym od lat toczą się dyskusje, oczko w głowie całej Ghany! Sporo już o tym pisa-no, lecz gwoździ przypom-nienia warto kilka zdań w związku z tym przytoczyć, rzecz jest bowiem nadal aktualna. Kilka zdań — żywcem wyjętych z księżeczki programowej przeznaczonej dla niewyrobionego czytelnika z ghańskich wsi i miasteczek. Jeżeli sięgam po wspomniane wydawnictwo, to oczywiście nie z braku szacunku dla polskiego czytelnika, lecz z racji zwięzłości i jasności, jaka operują tego typu afrykańskie publikacje. Słuchajmy więc uważnie:

„W Ghanie znajduje się boksyt, z którego można wy-rabiać aluminium“.

„Mnóstwo wody wpływa każdego roku z rzeki Wolty do morza“.

„Tama w Ajenie może magazynować tę wodę, która...“

„Może być użyta do wytwarzania elektryczności. Na zrywamy to hydroenergia“.

— Aby zrobić aluminium z boksytu, potrzeba wiele energii elektrycznej“.

„Zasoby boksytu w Ghanie starczą dla wielu pokoleń, dla waszych wnuków, dla wnuków waszych wnuków i jeszcze potem“.

„Najwięcej naszych zysków przynosi kakao, którego cena raz idzie w górę, a raz spada w dół. To bardzo ryzykowne dla kraju“.

„Aluminium przyniesie nam tyle pieniędzy, ile teraz przynosi cały eksport innych rzeczy“.

No i dość wykładu, wiemy już o co chodzi. Projekt przewiduje budowę tamy, robotniczego miasta kopalni boksytu, dróg, kolei i tak dalej oraz nowego portu w Temie. Niedaleko Akry. Inwestycja ta, idąca w setki milionów funtów, istotnie mogłaby przeobrazić strukturę ekonomiczną Ghany, uzależnia-na dotychczas od monokultury kakao. Ale ktoś znowu tak pochopnie zainwestuje owe astronomiczne sumy? Początkowo interesowała się tym projektem Wielka Brytania, obecnie na czoło wysunął się kapitał Stanów Zjednoczonych i Kanady. Petraktacje toczą się opornie, obie strony okrażają się nawzajem, oglądają nieufnie, żądają gwarancji. Ghana obawia się, że jakiś zbyt pochopny krok może ją rzucić w kleszcze zależności typu... kolonialnego. Wielka Brytania obawia się, że Stany Zjednoczone za bardzo umocnią swoje wpływy. Stany obawiają się, że „czarni“ mogą z czasem zrobić jakiegoś oskusa natury prawnej, który pozbawi ich należytych zysków.

Jak słyszałem, ekonomiści polscy oceniają samo meritum projektu z dużym sceptycyzmem, oczywiście mając na względzie dobro Ghany. Zyski z eksploatacji aluminium zostaną pochłonięte w początkowym okresie pro-

dukcji — a okres początkowy, to co najmniej 80 lat — na spłatę wkładów towarzystw inwestycyjnych, na dalszą rozbudowę huty etc. etc. W toku produkcji, która ma być zmechanizowana do ostatnich granic, tylko niewielu Ghańczyków znajdzie tam zatrudnienie, co najwyżej parę setek ludzi. W sumie powstałaby nowa enklawa kapitalistycznych wpływów, nowa „monokultura“ aluminium, nowa baza nacisku politycznego.

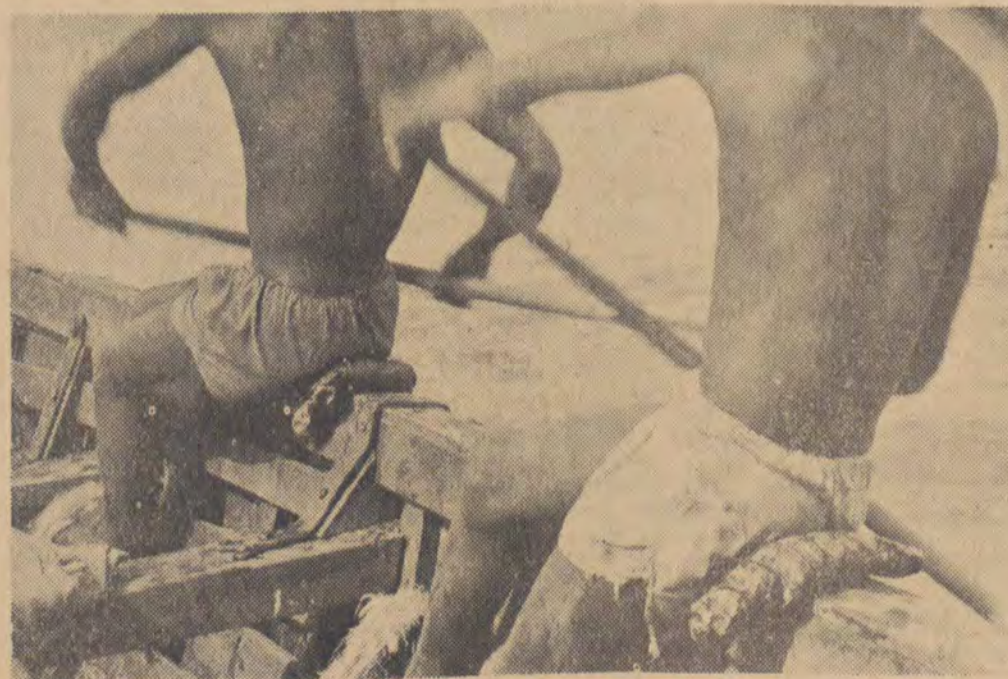
Wydaje się, że ghańscy entuzjaści Projektu Wolty latw* mogą jednak zyskać zwolenników wśród swoich rodaków. Argumenty posiadają mocną: tam, gdzie nie ma nic, każdy wkład jest dobry. Przy budowie tamy i huty zatrudnione byłyby dziesiątki tysięcy ludzi, a to już jest coś. Znikną bagna, nad którymi unoszą się chmury much tse-tse, powstanie w tym miejscu zarybione jezioro, wyrosną nowe domy, nieporównanie wygodniejsze od murzyńskich leplanek...

Wszystko to wprawdzie argumentacja, którą kiedyś już dosyć obficie szermowano... w pionierskich czasach kolonializmu. Książeczka, którą cytowałem, zawiera złote myśli dla masowego czytelnika. Ale rząd Ghany ma niewątpliwie w ręku sztyf do wszystkich podtekstów i niuansów Projektu Wolty, i jeśli się przy nim upiera — to znaczy, że ma nadzieję wyjść z tego obron-na reką...

Faktem jest, że pierwsze kroki już poczyniono, ostrożnie acz efektywnie. Ruszyła budowa portu Temie, który przyniesie kolosalny pożytek nawet i w wypadku, gdyby cała reszta Projektu upadła. Nabrzeża — słuchajcie, nareszcie normalne nabrzeża! — mają na razie zdolność przeladunkową 1 miliona ton, z czasem jednak można je będzie rozbudować do przeladunków 5 milionów ton rocznie. Jak by nie było, rośnie port z prawdziwego zdarzenia, rzadkość na płytym, odkrytym brzegu, obsługiwany znojnym trudem wioślarzy. W Temie nie będą już potrzebne chybotliwe „lele“, ani nasycone groźną poezią ballady przewoźników... I być może komuś, kto po latach powtórnie zawita do Ghany, leżka się w oku zakreśli, gdy ujrzysz ostatnią pirogę „przewoźników z Akry“. Tak jak dzisiaj warszawiakom na widok ostatniej doroczki...

Za tydzień JU-JU czyli CZAROWNIK W MERCEDESIE

Zdjęcia autora



Przewoźnicy z Akry

INFORMACJE i ZACZEPKI

Jeszcze w październiku br. odbędzie się w Łodzi konferencja naukowa poligrafików z przed stawicielami przemysłu papierniczego.

W związku z rosnącą popularnością piosenki pt. „Moja miła nie wyjeżdża” autorzy słów (spółka autorska „Jan Gwóźdź”) napisali podobno nową wersję utworu. Nowa wersja rozpoczyna się od słów „Moja miła nie przyjeżdża, miła zo stała” i przeznaczona jest dla licznych zastępów słomianych wdowców. Wtórzy niespodzianie odkryli urok samotności.

W pierwszych dniach października Dzielnica Górna otrzymała nowy Dom Kultury, a Śródmieście nowe małe kino w sali ŁDK. „Najlepsze są te małe kina” — pisał kiedyś Gałczyński.

Glupota ludzka ma granice wprost niepojęte. Znowu kilka dni temu „rąbnięto” na stacji Łódź-Kaliska 180 litrów spirytusu metylowego. Wśród bywalców tzw. cichych barów panuje duże zaniepokojenie, frekwencja w tychże spada. Niemniej jednak szpitale przygotowane są na przyjęcie biesiadnych gości.

Mieszkańców Radomska, „suszy”. W pierwszym półroczu br. wydali oni na napoje chłodzące 1.790.000 zł.

Spółdzielnia Pracy „Czystość” reklamując w „Głosie Robotniczym” swoje usługi umieszcza wśród wielu pozycji również i taką: „podlewanie luster”. Ciekawi nas jak ta czynność wygląda i czy nie można jej wykonać we własnym zakresie.

Ponad 240 tzw. doręczycieli czyli po prostu listonoszy zatrudnia łódzka poczta.

Na ostatniej sesji kultury poddano pod dyskusję projekt otwarcia studium baletowego. Jeśli nie mamy w tym wypadku do czynienia z tzw. księżycową buchalterią to — jak obliczono — przyjemność ta ma kosztować około 250 tysięcy zł rocznie, a więc stosunkowo niewiele.

„Odgłosom” podobna się wydawa w swoim czasie książka Włodzimierza Krzemińskiego pt. „Pięć lat z haklem”. Ostatnio ten sam autor publikuje w Wydawnictwie Łódzkim swą drugą książkę „Jednak jestem”. Polecamy ją naszym czytelnikom.

„Kto zniszczy choć żdźbło zieleni nich się ze wstydu rumieni” oraz „Chodź po chodniku nie po trawniku” — z taką poezją spotykają się łodzianie na wszystkich niemal skwerach. Bardzo zabawna jest ta magisterska poezja. Nie którzy twierdzą, że autorami powyższych perelek są dwaj poeci pracujący w Wydziale Kultury. Ale to chyba ślotka.

J.W.



Maria Kozierska i Zbigniew Łobodziński w „Grze i rzeczywistości” Tito Strozzi w Teatrze im. Jaracza

Fot. G. Puciato

W łódzkich teatrach rozpoczął się nowy sezon teatralny. Jedną po drugiej w odstępach zaledwie kilkudniowych następują premiery — jest o czym mówić, jest o czym pisać i jest co oglądać. Na razie widziałem tylko „Grę i rzeczywistość”, w reżyserii Włodzimierza Kwaszkowskiego, którą Teatr im. Jaracza przygotował już w ubiegłym sezonie, lecz teraz dopiero wystąpił z premierą prasową, oraz „Tramwaj zwany pożądaniem” Tennessee Williamsa. Sztuką tą Teatr Powszechny zainaugurował swój nowy rok teatralny.

„Grę i rzeczywistość” napisał dramaturg jugosłowiański, Tito Strozzi. Sztuka ta na pewno zainteresuje publiczność, jest bowiem i współczesna, i o miłości, i dwuosobowa — podobno teraz nastała moda na takie właśnie utwory teatralne, o czym ma świadczyć sukces „Dwojga na huśtawce” Gibsona w Teatrze Nowym. Wydaje mi się jednak, że to przede wszystkim aktorzy szukają sztuk dwuosobowych, które pozwalają „pokazać się”, i wyżyć. Przez cały czas trwania spektaklu oglądamy na scenie tylko Marię Kozierską i Zbigniewa Łobodzińskiego. Szczególnie Kozierska jest bardzo interesująca, ale obydwoje nie dostarczają nam zbyt wielu wzruszeń. To wina Strozzi, który w porównaniu z Gibsonem wypada słabiej przede wszystkim dla tego, że „Dwoje na huśtawce” mimo płytkich intelektualnych, uproszczonych i mało dramatycznych wątków, jest sztuką bliższą współczesnemu człowiekowi, opowiadającą o zwykłych, szarych i zagubionych ludziach, pokazującą samotność człowieka, że zmora współczesnej cywilizacji. Strozzi dał nam problem trochę zbyt „elegancki”, zbyt wymuskany, kłopoty sercowe dramaturga i jego żony aktorki — zapewne bawią, lecz jak powiedziałem, nie mogą dostarczyć głębszych wzruszeń. „Gra i rzeczywistość” — to jakbym się wyraził sztuka dla małżeństw przynajmniej z dziesięcioletnim stażem, gdy to żona zaczyna mieć do męża pretensje, że nie adoruje jej tak samo mocno jak w pierwszych dniach po ślubie. A ponieważ prawie każdemu zdarza się przeżywać takie historie, Strozzi znajdzie u nas entuzjastów.

Ja osobiście za dramaturgami jugosłowiańskimi nie przepadam, swojego czasu obejrzałem trochę spektakli w Belgradzie, naprawdę nie wiem czemu aż tak wiele sztuk jugosłowiańskich wystawiają nasze teatry. Zastanawia mnie także związki między rozwojem techniki i powstawaniem sztuk dwu-

zanim udałem się na spektakl do Teatru Powszechnego, dlatego może opuściłem teatr z przekonaniem, że ten prawdziwy „Tramwaj zwany pożądaniem” pozostał jednak na kartach miesięcznika, a w teatrze oglądaliśmy tylko dość dowolną interpretację utworu Williamsa. Bo Williams — jak mi się wydaje — napisał swą sztukę

niezwykle wrażliwa kobieta, pełna poezji. To nie, że chlę wódkę jak stary marynarz, to nie że podobno urzędowała jako prostytutka. Jej osobisty urok, piękno, wdzięki i poezja sprawiają, że wszystko to staje się dla nas niaważne, jesteśmy po stronie Blanche, rozumiemy jej tragizm i współczujemy jej.

Obsadzenie Ewy Zdzieszyn



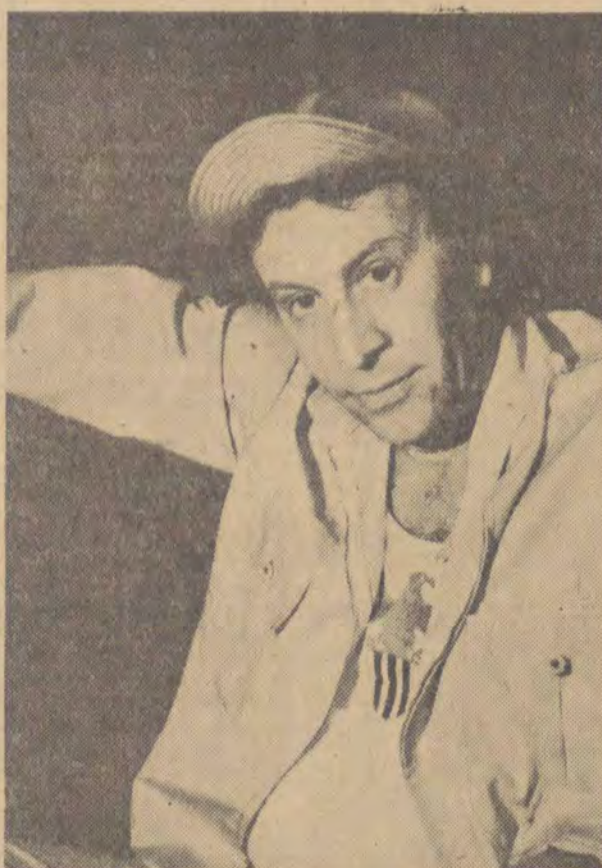
Ewa Zdzieszynska i Tadeusz Sabara w „Tramwaju zwanym pożądaniem” Williamsa w Teatrze Powszechnym.

Fot. G. Puciato

Wrażenie ciężkiego kalibru

ZBIGNIEW NIENACKI

Kurtyna poszła w górę!



Leon Niemczyk jako Stanley Kowalski w sztuce Williamsa

Fot. W. Rozmysłowicz

dostarcza „Tramwaj zwany pożądaniem” Williamsa, współczesnego amerykańskiego pisarza. Szerzej o nim można się dowiedzieć z programu teatralnego złożonego z pięciu cytatów „Dialogu”, miesięcznika poświęconego współczesnej dramaturgii. W tymże „Dialogu” przeczytałem sztukę Williamsa,

kę w obronie Blanche, starzejącej się pięknej kobiety, która przegrała swoje życie i doprowadzana zostaje do obłąkania. Gdy tymczasem sztuka ta w Teatrze Powszechnym zagrana została „przeciw Blanche”, stała się jej oskarżeniem. W tekście Williamsa, Blanche — to piękna, delikatna, subtelna i

skiej w roli Blanche oczywiście postawiło wszystko „na głowie”. Niski głos tej zresztą bardzo utalentowanej aktorki, jej ruchy, aparycja i styl gry sprawiły, że już od pierwszych scen patrzymy na Blanche nie oczami Williamsa, lecz Stanleya Kowalskiego, jej wroga. Blanche ukazuje się nam jako kobieta „zgrana”, która przyjechała do swej siostry, aby znaleźć tu chwilowy przytułek, a znalazłszy go po stanowiła swoją siostrę odstręczyć od jej męża. Kowalskiego. Taką ją widział Stanley i właśnie taką doprowadził do obłąkania. Blanche w Teatrze Powszechnym nie ma nic na swoją obronę, zabrakło jej bowiem uroku i poezji. Nawet gdy mówi liryczną partię o podróży okrętem, nie wzruszamy się, traktujemy jej słowa jako blazenadę wariacki. Kiedy Blanche uwodzi naiwnego Mitcha i chce go doprowadzić do małżeństwa, jesteśmy na nią oburzeni podobnie jak Stanley, bo wydaje się nam, że popelnia ona oszustwa, że po prostu chce ona znaleźć nową bezpieczną „metę” — jak mówią nasze polskie Blanche. A przecież Mitch dla prawdziwej Blanche, to odnalezienie tak upragnionej czułości, miłości, dobroci i zrozumienia... Nic z tego nie było w spektaklu Teatru Powszechnego.

Reżyserzy sztuki Ryszard Sobolewski i Roman Sykała, oczywiście mieli prawo do własnej interpretacji tekstu, to jednak jest ograniczone. Nie można przeinaczać wymowy sztuki, jej sensu. „Tramwaj zwany pożądaniem” wystawiony w Teatrze Powszechnym stał

się sztuką niezrozumiałą, już na pewno szasowaną. Reżyserzy, powiadam, mają prawo na wprowadzanie pewnych dowolności w tekst sztuki, o tyle jednak, o ile jest to jakoś uzasadnione. Dużo jest dowolności w spektaklu łódzkim, w sprawach zasadniczych i w drobiazgach, ale daleko nie znalazłem ich uzasadnienia.

Bo czemu na przykład przypisać, że w scenie drugiej, gdy Stanley rozpoczyna śledztwo przeciw Blanche, zamiast kufra okrętowego — jak chce Williams — widzimy na scenie skórzaną walizkę, z której Kowalski wyciąga kilka szmatek, gdy u Williamsa mowa o „nareczu ubrań”? Niby nie, kufur czy walizeczka, szmatka czy narecze ubrań. Ale i to świadczy jak źle został odczytany przez reżyserów tekst sztuki. Bo kufur marynarski u Williamsa, to jeszcze jeden rekwizyt, który kazać ma nam wierzyć w podróż Blanche i podpieścić jej marzenia: „Czuje zapach morza. Resztę życia spędzę na morzu. I umrę na morzu”. Ten kufur marynarski to jeszcze jeden świadek jej kompleksów, których wyrazem są między innymi owe marzenia o przejrzyście przestworu morskim. Przecież nie wolno zapominać, że sztuka Williamsa wyrasta na gruncie psychoanalizy Freudowskiej. Kufur czy walizeczka — niby nie, drobiazg. Ale dlaczego reżyserzy nie przemienili także kufra w walizkę w tekście, który mówi Blanche? Niedopatrzność? Nie posadzą ani Sobolewskiego ani Sykały o takie przeoczenie. Po prostu chcą oni jeszcze raz podkreślić, że Blanche to stara kłamczucha, mówi o swoim kufurze, a przecież ma tylko zwykłą walizkę. Wszystko co mówi to błaża.

Przeciwko takiej interpretacji Blanche, należy, sądzę, zaprotestować. A jednocześnie na pewno docenić trzeba ogromny wysiłek aktorski włożony w wykonanie tej znakomitej sztuki. Podobna mi się Teresa Kałuda jako siostra Blanche, Stella. Była czuła, ładna i pełna uroku, którego zabrakło jej scenicznemu siostrze. Nie wyczuwano się u niej tylko owego arystokratyzmu, o który dopomina się Williams. Obydwie, Stella i Blanche, co najwyżej „zgrzywają” się na arystokratki, gdy w rzeczywistości sztuki podchodzą one naprawdę z jednego z najstarszych amerykańskich rodów.

Bardzo dobry był Leon Niemczyk jako Stanley Kowalski. Bardzo mnie jednak boli, że w literaturze amerykańskiej, raz po raz trafia się postać Polaka w roli zbrodźcy, narcomana, donosiiciela, zbrodniarza lub nieokrzesanego chama i brutalą, jak to jest u Williamsa. Lecz skoro nie przeszkadza to polskiemu teatrowi — nie wypowiem wszystkich swoich żali. Choć może rzeczywiście żal, że żaden z polskich teatrów, a wśród nich i Powszechny w Łodzi, nie pokusił się o jakąś rehabilitację Stanleya Kowalskiego? Czemu w tej dziedzinie Sobolewski i Sykała nie zdobyli się na swobodę interpretacji, skoro tak bardzo okazali się samodzielnymi? Przecież Stanley próbuje bronić swojego szczęścia.

Bardzo ciekawie zaprezentował się Tadeusz Sabara w roli nieśmiałego i naiwnego Mitcha. Być może był zbyt „polski” z tą swoją uniemożliwioną, ciągłymi ukłonami, których podobno tam w Ameryce się nie praktykuje. Mi mo to wydał mi się interesujący, stworzył sylwetkę przekonywującą, pełną, bardzo ludzką. Z uznaniem pozwolę sobie wyrazić się o pozostałych aktorach: Remigiuszu Rogackim, Halinie Billing, Bohdanie Sobiesiak. W epizodach trafnie zagrali: Z. Suwalski, H. Borańska, N. Szymańska, Z. Płoszaj i A. Gamska.

Scenografia wydała mi się przeciętna.



Mali mieszkańcy stolicy Kazachstanu — Alma-Aty

BOTAGOZ i DEMELA

Dokończenie ze str. 1

czło przed wspaniałymi wynikami pańskiej pracy" pisał Romain-Roland do Zatajewicza. Temu zasłużonemu zesłańcowi wdzięczni Kazachowie wystawili pomnik w Moskwie. Wyruszając do Kazachstanu trzeba zawadzić o Moskwę i stanąć chwilę przed pomnikiem człowieka, dawnego więźnia carskiego, który nie zważając na trudności na głód, na choroby, epidemie, ratował przed zapomnieniem zabytki języka kazachskiego. Powieść można by budować tylko wokół tego wątku. Historia o wielkim zbieraczu starych pieśni byłaby na pewno interesująca. Bałoby się tak interesująca jak życie Zatajewicza. I oto mój motyw dalekiej wędrówki: odszukać w dalekich stepach, zapomnianych jurtach i ostiedach szlaki wędrówek Zatajewicza. Jakże pokonywał trudności, jakie napotykał przeszukując? O czym marzył, co stracił, co zyskał? Z jakimi ludźmi się spotykał.

W tej wędrówce będziemy się ocierać o niejedno nazwisko polskie. Cała Azja jest usiana polskimi mogiłami. Najdalszy Albazin, najdalsza Kamczatka i ten daleki, a jakże bliski Kazachstan. Czy ludzie nie zbliżają dalekie kraje bardziej niż rakiety i samoloty? Mało to naszych poetów i pisarzy, którzy w czasie ostatniej wojny znaleźli w Kazachstanie gościnę, odbito w swoich utworach piękno ziemi kazachskiej? Józef Hen, Włodzimierz Słobodnik, Jan Huszcza, Leopold Lewin nie zapominają o polach za Taszkientem, które jest białe, o kwiecie bawełny, srebrnym i sypkim, o zielonych wschodach w stepie, o krajobrazie, który „korytę się na łodydze wiatru jak wielki kwiat”.

A więc na gościniec pieśniarski! Na ten sam, którym szedł Zatajewicz, który przeżył nasi poeci. Gustaw Zieliński powiada:

„O dziwna nuto pieśni kirgiskiej!
Melancholijna — jak te płaszczyzny;
Dzika — jak krwawej zemsty pościki;
Rzewna — jak tęskność do pół ojczyzny...”

O czym myślał Zatajewicz, gdy w samotnej jurcie, (może płynął tam potok, może nie, może były jakie lasy w pobliżu, a może przestrzeń głucha, stepowa, może wznosiły się tam góry, które opisuje Sabit Mukanow, poprzeczane skalistymi szczytami), gdy słuchał raz rzewnych, raz bohaterstkich, raz dźwięczających ostrą satyrą starodawnych baiek kazachskich — o słynnych baty-

rach, czyli rycerzach, o miłości, o przyrodzie. Oto jurta, ludzie i psy. Wędrowni akyn, śpiewak — kompozytor, opowiada o miłości młodego Kirgiza do pięknej dziewczyny, o przeszkodach, jakie musiał zwałować młody bohater, by zdobyć serce i rękę ukochanej.

Oto ta pieśń — „Kara-torgaj” bohater, ubogi śpiewak, zasłyszal o nadzwyczajnej piękności córce bogatego baba w dalekich stepach za Iszymem — wyruszył w drogę i samym śpiewem zdobył serce dziewczyny; oto inna pieśń o pięknej Zylbek i jej tragicznej miłości do młodzieńca Tulegeny; o okrutnym Bazarbaju, ojcu Tulegeny, który zrywa ten związek, o nieludzkim chanie kalmyckim Koreniu, który chce zdobyć Zylbek dla siebie i o bohaterskim dzigicie Samsybaju, który zwyciężył chana i żeni się z Zylbek.

Duszną jurkę wypełnia głos śpiewaka, brzmi do wóru monotonna dombra, prymitywna bakalajka, o czym myśli przybysz z dalekiego kraju, kiedy słucha tej pieśni, czy jego również, jak Tulegeny, okrutny chan nie rozdzielił na zawsze ukochaną? Gdzie ona teraz przebywa? „Każda minuta jak wielki dzwona... tęsknota”, której nie ugasi. „Smukłe dzambulske topole wieś polską przypominają... Nurt kazachstańskich potoków Dunajca falą się płeni... Na gwiazdach do drzew przylepionych wróble po polsku ćwierkają... I góry — czemu nie Tatry! — Snieżą się na widnokręgu” (L. Lewin). Takie są wiosny na obczyźnie. Takie są zimy. Takie lata. Ale dość skarżenia się duszy. Słowa pieśni zostają utracone na zawsze w notatniku. Jakaż uwaga towarzyszyć może temu zapisowi? „...trubadurów kirgiskich, czytamy w listach Januszkiewicza, bardowie stepu, wieszczę, których improwizacja, również jak talent wymowy, znakomicie świadcząc o umysłowych zdolnościach tego ludu, przenosiła mnie mimowolnie w średnie wieki; bo tam tylko, pod kamiennym sklepieniem gotyckiego zamku, u możnego jakiego barona, biesiadującego wśród swych wasall, mógłbym znaleźć to czego dziś byłym świadkiem pod welniam dachem kirgiskiej jurty”. Dzisiaj, kiedy płyniemy samolotem nad tą „Azją odmienną” nie sposób oderwać się wspomnieniem od improwizatorów stepowych, których pieśniami, jak powiadał Kazachowie, wtórowali w niebie łabędzie. Czy sły-

szeliście głos znakomitego akyna Brżan-Sala, kiedy śpiewał „Szalkym”, narodową pieśń kazachską? Pieśni kazachskie powstawały zawsze z okazji jakiegoś ważniejszego wydarzenia na stepie. A jakie teraz wydarzenia mogą towarzyszyć nowym pieśniom? Oto światła Aktyubińskich Zakładów Hutniczych. Oto Kombinatu Metalurgiczny w Tymi-Tan; oto w dali, we mgle porannej, otulone chmurą pyłu i dymu karagandzkie Zagłębie Węgłowe. W roku 1920 wydobyło w Karagandzie 14,7 tysięcy ton węgla, w roku 1940 — 6 milionów 300 tysięcy ton. Mapa nie kłamie: zielone zbocza Altaju, tylekroć opiewane w pieśniach, kryją w sobie bogate pokłady rud; powstaje i rozwija się Ust Kamienogórski Kombinatu Ołowiano-cynkowego. Kazachstan, egzotyczna kraina, azjatycka kraina, wielki kraj, po którym koczowały kiedyś zastępy mongolskie Dżyngis-Chana, jakże na oczach zmienia swój charakter. „Był to rok 1855, pisze W. Iwanicki. — W miejscu, gdzie znajduje się obecna Karaganda, tam gdzie są dzisiejsze kopalnie, miasta, nie było naturalnie nic. Jeden wielki, głuchy step, na którym pasły się konie i owce bogatych bajów” — starych przyjaciół cara.

Na zachód od jeziora Barchasz rozciąga się olbrzymi obszar, nazwany Głodnym Stepem. Czy geografowie zmieniają nazwę Stepu, który teraz zaczyna rodzić chleb? „O biedny kraju mój, — żalił się Abaj. — Jeden twój polek we krwi. Na drugim rumieniec. Jeśli walczyć, nie zmyjesz go — Każdy poniży twą godność. Każdy ubliżyć ci będzie”. Nie, nikt już nie będzie ubliżać, stepy zakwitają rumieńcami życia, ugory zamieniają się w pola. Lećmy nad olbrzymim krajem, osiem razy większym niż Polska. Pod nami Głodny Step. A przed nami, daleko w górach Alma-Ata, Ojciec Jabłek. W dole ledwie widać cienkłą nitkę drogi. A na niej małe punkciki, może samochody, a może zakochani, współcześni batyrowie na koniach? Kto kogo prześcignie? Wątpliwy byłby wynik pojedynku, gdyby tam na dole pojawił się bohater Koblandy na swoim koniu Tajburynie, który jest szybki jak wiatr, „przeskakuje wysokie góry, deptając kopytami czaple i dzikie osły, przebywając w jeden dzień drogę czterdziestodniową”. O. Tajburynie, nie jesteś staroświeckim, starożytnym rekwiizytem, nie jesteś motywem ze starego eposu, jesteś jak najbardziej nowoczesnym symbolem, ty mówisz, jak ojczyzna w jeden dzień przebywa drogę czterdziestodniową i jak pięknie. Ta ojczyzna arecyklowej historii, kraj złota, żelaza, manganu, ropy, kraju, w którym, jak pisał zgodnie reportażysta, co roku odkrywa się nowe bogactwa. Kraj srebra, fosforytów, soli i boranu. Kraj cynku, ołowiu. Kraj pszenicy, bawełny i ryżu — białego złota. Kraj pionierów, którzy w ostatnich sześciu latach obsłali trzydzieści milionów hektarów ugoru; kraj, który zajmuje trzecie miejsce w produkcji

elektrycznej w Związku Radzieckim, kraj, który został odznaczony Orderem Lenina. Kraj, który ma liczne szkoły, wyższe uczelnie, swoich pisarzy, Mukanowa, Auezowa, Mustafina, Musrepowa, którzy przejęli tradycje akynów, odebrali pochodnię z rąk największego pieśniarza Dżambula Dżabajewa, z rąk Azerbajewa, Omara Szypina; kraj nowych kompozytorów i artystów ludowych.

Oto zielone wody Balchaszu. Pod nami z boku, na drodze wijącej się równoległe do brzegów jeziora znowu jakaś karawana. A my lecimy jak strzala. Szybko, jak bańkowy Tajburyn. Obok mnie siedzi młoda Kazachka. Może to daleka siostra pięknej Demeli. Może nawet nosi to samo imię. Obserwuję jej delikatny profil. Jej długi warkocz — nie ozdobiony srebrnymi monetami. Kim jest? Nauczycielką, lekarką? A może artystką? Może śpiewaczką — o głosie — nieznanym instrumentem, nigdzie nie widzianym i nigdzie nie słyszonym: głos — szklany flet, jak pisze Wasilewska, struna srebrysta, diamentowy blask, iskierki syjące się wokół. O czym mogłaby śpiewać? Czy nie o ziemi szerokiej, o ojczyźnie, której krańca nawet z tej wysokości nie widać? Czy nie o swoim aule? Może o ich osiedle zawadził kiedyś zbieracz pieśni Zatajewicz? Gdzie jest ten aul? Czy w dalszym ciągu można o nim mówić, że jest „na zewnątrz cały, wewnątrz tylko dym”? Twarz młodej Kazachki, „trochę płaska”, ciemna, jeszcze mocniej zabarwiona się rumieńcem. Czy doszłaby mój natrętywy wzrok? Czy widok mijanych pól i osad nie przywodzi jej na myśl starych pieśni, które odbijały piękno i miłość, ale odbijały także niedolę, klęski, choroby, epidemie?

Tymczasem mijamy góry, takie, jakie je utrwalił w swoich zapisach Januszkiewicz, „odżłanie lasami” — i (chciałbym aby tak było) „zamieszkałe przez niedźwiedzie, losie, jelenie”; unosimy się nad bezmownymi rzekami, nikomu w Europie nie znanymi; a niżej w jednej sekundzie przeganiamy starożytne „karawany kupieckie idące z Taszkientu i Kokandu, stada sąg, dzikich koni, zwanych kulunami...”

Oddycham szeroko. Ale oto w dali nagle miasto: Alma-Ata. Kozićka nazywa je olbrzymią Krynicą skrzyżowaną z Zakopanem, przeniesioną do południowego klimatu, stolica — uzdrowisko. „Miasto gór, zieleni, kwiatów, owoców i młodzieży”. Miasto siedmiu wyższych uczelni. Ujmuję delikatnie za rękę moją towarzyszkę. Alma-Ata — mówię. Alma-Ata — powtarza ta, którą nazywam Demela i nie wyjmuję ręki z mej dłoni. A może słuszniej trzeba by ją nazwać Botagoz, jako że jej imienniczka pierwsza witała czerwonoarmistów w czasie wojny domowej?

Oczy jej lśnią zachwytem, a może to łzy? Może to studentka, oddelegowana do stolicy na studia. Nie wiem, wątpliwości rozstrzygnę na miejscu. Ile pytań nagromadziło się w czasie tej podróży! A samolot już zmierza w kierunku lotniska.

TADEUSZ PAPIER



Nad jeziorem Kossyk

SEDNO
RZECZY

MARIAN PIECHAL

Święta krowa

Był w starożytnym Egipcie święty byk Apis, czemuż by zatem w naszych czasach nie mogło być świętej krowy? I czemuż by, na przykład, tym apoteozoficznym epitetem nie ochrzcić i zarazem nie uczcić naszej swojskiej, pocziwie dobrodziejnej Lysuli czy Krasuli? Mówiąc o świętej krowie, nie myślę bynajmniej o Indii, gdzie panuje przesądny, jak na europejski nasz gust, kult tego zwierzęcia, tylko o naszym stosunku do zwierząt. Uważam, że jest to jeden z najbardziej aktualnych i wcale nie blachy problemów naszej współczesnej kultury.

Uśmiechamy się bezmyślnie z poczuciem pobłażliwej wyższości, oglądając w kinie lub w piśmie ilustrowanym zabawne sceny troskli-



wego wymijania przez rozmaitego rodzaju pojazdy rozwalonych leniwie na środku jezdni krow w jarkim Bombaju, Delhi lub Kalkucie. A przecież sami w zamierzeniu, choć nie tak dawnej, przeszłości naszych dziejów uprawialiśmy kult węży i innych gadów, nie licząc kultu konia, który to kult nie jest w naszym społeczeństwie wyłącznie atawizmem szlacheckim, lecz ogólnonarodowym, rzekłbym nawet, plemiennie-słowiańskim. W „Księdze przysłów polskich” Adalberga najwięcej przysłów odnosi się do Boga (412), a potem do konia (264), a te „należą do najlepszych” — notuje Zygmunt Gloger, autor „Encyklopedii staropolskiej”. Wynikałoby z tego, że jak naród hinduski jest narodem — honny soit qui mal y pense — krowim, to my, Polacy, jesteśmy końskim. Stąd to przysłowio-

Dalszy ciąg
na str. 8

Kiedy Widawczyk był rektorem

Widawa jest obecnie małą, spokojną osadą, trochę przypominającą dużą wieś, trochę zubożałe miasteczko, utopione w lasach i łąkach, przez które płyną dwie rzeczki: Widawka i Nieciecz. Nie ma tu wielkich zakładów i przedsiębiorstw przemysłowych. Nie ma w ogóle żadnych fabryk. Większość mieszkańców zajmuje się uprawą ziemi, robotnicy dojeżdżają do odległych papierniczych i żelazno-wolfradowych fabryk, szesnastoletnia młodzież bez zawodu „szlifuje” bruki, a pracownicy administracji urzędują w biurach GS i Gromadzkiej Rady Narodowej.

Osada trochę się ożywiła dopiero w dni targowe. Wtedy z okolicy ściągają na widawski rynek — przetrząsnąć handlarze, rzemieślnicy, kupcy, a także sprzedawcy piwa i „eliksiru” na porost włosów. Wtedy i w sklepach ruch większy w miejscowej gospodzie wzmaga się zapotrzebowanie na kaszankę i „czystą” z czerwonej kartki, a w aptece więcej niż zazwyczaj sprzedaje się proszków od bólu głowy.

Ale i ten ruch targowy jest słaby. Jak by jednak nie było, fakt pozostaje faktem, że Widawa w przeszłości — dokładnie w XVIII w. i XIX w. była na pewno bardziej ruchliwa, a jarmarki, które mogły przyciągnąć do niej tłumy, zaczęły się odbywać, zyskały sobie nie małą sławę — nie tylko w kraju, lecz na granicy i przyczyniły się do znacznego rozwoju miasteczka. I mimo, że w roku 1833 za udział mieszkańców w Powstaniu Listopadowym odebrano Widawie przywileje handlowe i pozabawiono ją praw miejskich, to jeszcze w końcu XIX i na początku XX w. dwunastodniowe jarmarki ściągaly do Widawy kupców z całej niemal Polski.

Niewielu jest już jednak w Widawie takich ludzi, którzy na własne oczy oglądali jarmarki trwające dwa tygodnie. A przecież, mówiąc prawdę, nie są to czasy znowu tak odległe. Nie minął od nich nawet wiek. W znacznej części dawnych czasach, do których pamięć ludzka już nie sięga, Widawa faktycznie była inna i w kronikach historycznych troszeczkę miejsca poświęcono i jej dziejom.

Nauczyciel — Stanisław Siciński — wiele zgromadził u siebie materiałów, odpisów dokumentów i notatek dotyczących Widawy. Dowiadujemy się z nich, że... Wprawdzie Widawa w XIII wieku była jeszcze wsią, ale już pod koniec XIV wieku król Władysław Jagiełło nadał jej prawa miejskie, w niemałym stopniu przyczyniając się do rozwoju miasteczka. Tu też prawdopodobnie w drugiej połowie XVI wieku powstała kolonia akademicka — coś w rodzaju filii Uniwersytetu Jagiellońskiego — „Akademia Widawska”. Powstała przypuszczalnie z inicjatywy profesora i kilkakrotnego rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego w owych czasach, rodaka z Widawy — Walentego Widawskiego, który nawet specjalnym zapisem przekazał miastu swą prywatną olbrzymią bibliotekę. Fundatorem zaś, dobroczyńcą i patronem szkoły widawskiej, w której pobierała młodzież naukę w zakresie gramatyki, dyalektyki i retoryki, oraz arytmetyki, astronomii, muzyki i geometrii, był Maciej Weżyk Widawski. Jemu też dedykowana jest broszura Akademii Widawskiej wydana w roku 1635 — „A nie tylko on kościół i klasztor fundował, ale do Widawy magistrzy uszobrowali. Sławna Akade-

mię, którą oni królowie w Krakowie fundowali, patrz — jako synowie koronni torem idąc za pany swoymi, też fundują. A w tym ma przodek przed inszymi, zacy Maciej Widawski Weżyk znamienity”.

Kształcił się w szkole widawskiej nie tylko synowie szlacheccy, ale także i synowie chłopscy z Sieradza, Burzenina, Działoszyń, Widawy, ba — nawet przybywali na uczelnię młodzieńcy z dalekich stron kraju. Tu pobierał nauki sławny biskup kujawski Pstrokoński, tu uczył się późniejszy działacz reformacyjny ze Śląska — Celariusz, wykształcił w Widawie imię Weżykowie — Piotr, Jan, Walenty odegrali nie małą rolę w życiu naukowym Krakowa.

I chociaż w roku 1783 akademicka kolonia widawska przestała istnieć, to przecież przez długie lata jeszcze trwał wśród mieszkańców Widawy kult dla nauki i wiedzy.

Piękna to karta w historii miasteczka i nie można się dziwić, że Stanisław Siciński, prawnik z wykształcenia, a historyk z zamiłowania, tak się pasjonuje dziejami osady. Kto wie nawet, czy ta pasja nie zadecydowała, iż stał się oryginalnym wybitnym i jako jedyny spośród widawiaków, którzy ukończyli wyższe studia powrócił do rodzinnego, niegdyś akademickiego miasteczka. Inni — lekarze, inżynierowie, profesorowie, magisterowie farmacji — zdradziły ojczyście pielesz na rzecz szerokiego świata. On natomiast wrócił i stara się udowodnić, że naukowe tradycje Widawy powinny odżyć na nowo. Ale ludzie, jak ludzie... nie bardzo wierzą w tę „uniwersy-

tecką” przeszłość dzisiejszej, spokojnej osady i że kiedyś istniała tutaj filia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Nie pozostał bowiem z tamtych czasów żaden ślad tej naukowej świetności i nawet zdarzyło się, nie tak znowu dawno, że młodzi nauczyciele historii zaczęli wątpić w prawdziwość zebranych przez Stanisława Sicińskiego materiałów. W rezultacie bliżej niezidentyfikowany przyjezdny prelegent (być może z jakiegoś konkurencyjnego miasteczka, które również zabiega o uroczystości związane z 1000-leciem istnienia), w obecności tychże młodych pedagogów złośliwie podważył akademickie tradycje grodu widawskiego i nikt nie próbował nawet protestować. Całe szczęście, że naukowcy z Łodzi, a między innymi i profesor Roman Kaczmarek, zgromadzili wystarczającą ilość dokumentów, by dowiedzieć istnienia akademii i kolonii widawskiej.

Tak więc spór o akademicką Widawę został rozstrzygnięty. Pozostaje jedynie otwarta sprawa, przy którym z kościołów widawskich ta uczelnia istniała. Przypuszcza się, że przy kościele św. Marcina. Ale piętnastowieczny kościół spłonął i żaden ślad po budynkach akademii nie pozostał. Ocalał natomiast zabytkowy klasztor bernardynski, w którym znajduje się między innymi chrzcielnica ufundowana na początku XVII w. przez rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, rodaka z Widawy — Walentego Widawczyka.

Lecz nie tylko w klasztorze znajdują się cenne pamiątki. Mistrz cechu stolarskiego, staruszek Stefan Janicki przechowywał pieczętowane w domu dowody minionej świetności swej osady: oryginalny przywilej króla Zygmunta III dla rzemieślników widawskich i cechę z roku 1606.

„Różni” już przyjeżdżali do mistrza Stefana specjalnie od gromadzenia wartościowych eksponatów. Proponowano mu nawet dyplom uznania w zamian za cenne dokumenty. Mistrz Janicki był nieustępliwy. Dokumentów nie oddał. Dla niego bowiem to świętość przechowywana przez stolarzy widawskich od wielu pokoleń. On jest ostatni z dawnego cechu. Niech więc „to” przy nim zostanie, a dopiero po jego śmierci „oddobi” jakieś muzeum. Przecież to historia, bogata historia, z której Widawa może być tylko dumna. W kronikach zapisano nie tylko 250 lat istnienia Akademii Widawskiej, nie tylko to, że wtedy wiódł szlak napoleoński i że tu bili się powstańcy z 1831 i 63 roku, ale

Święta krowa

Dalszy ciąg
ze str. 7

kowi na wyłączny jego pożytek stworzenia jak te właśnie, które my tak pogardliwie nazywamy krową, świnia, wielbłądem, słońmiem, psem? Trzeba widzieć świętą cierpliwość osła drepącego chwiejnie pod dwakroć większym od niego samego ciężarem po skalistej ścieżce górskiej, trzeba widzieć świętą wytrwałość głodnego wielbłąda niosącego człowieka przez setki kilometrów skwarnej pustyni afrykańskiej, trzeba widzieć świętą pokorę i ufność krowy, odgajającej wszystko z siebie za garść trawy, chwastów, lub słomy. O, święta krowo!

Wyraz „święty” może mieć dwa różne znaczenia: dosłowne i przenośne. Religijne znaczenie tego wyrazu jest zawsze dosłowne, laickie zaś — przenośne. Oba jednak dotyczą funkcji kultu. Człowiek czci przez nie najwyższe wartości swej kultury. Laicki kult wartości to przede wszystkim humanistyczny akcent każdego zjawiska, które przerasta zwykłą swoją miarę. W tym rozumieniu świętym jest człowiek poświęcający siebie dla innych w imię celów większych niż jego własne, na przykład, narazając się świadomie i dobrowolnie na śmierć w obronie ojczyzny, wyznawanej idei lub po prostu drugiego zagrożonego niebezpieczeństwem człowieka.

A już szczególnym wyrazem świętości jest uczucie, jak by powiedział wielki Stefan Żeromski, życie i rada,

to znaczy bezinteresowne uczucie sympatii ku wszelkiemu stworzeniu, dzielącemu z człowiekiem swój na ogół nieszczęśliwy los na tej ziemi. Miłość do olbrzymiego w różnorodności, lecz niemego świata zwierząt i wszelakiego na ziemi stworzenia, które w sumie służy przecież każdemu na swój sposób nawet poprzez formy, że tak powiem, negatywne człowiekowi to istota naszego humanizmu. Zwierzę najbardziej nawet krwiożercze nigdy nie jest okrutne, napada na człowieka tylko z konieczności, broni się zazwyczaj jednak lub poddaje ufnie człowiekowi. To tylko człowiek, dając folię wrodzonemu okrucieństwu, jakimś widocznym szczątkowemu reliktiowi w sobie z epoki kamienia łupanego, przyczynia się bezmyślnie do wytopienia wszelkiego stworzenia na ziemi, a nawet siebie samego — jeśli nim nie powodują hamulce wyższych wartości czyli poczucie owego humanizmu jako akcentu właściwie pojętego człowieczeństwa.

Instynkt jaskiniowca, drze miący dziś jeszcze w niedzielnym z nas, każe nam zabijać wszystko, co nie jest nami, a nawet samych siebie. Jakkolwiek liczyć nasze ludzkie cnoty i zasługi, to jednak nie od zwierząt, gadów i owadów — naszych braci młodszych — nauczyliśmy się konstruować bomby nuklearne i rzucać je na własne miasta. Ileż dobrych rzeczy musimy się jeszcze długo i mozolnie uczyć od mrówki, od pszczoły, od osła, od krowy. Symbolu najwyższego altruizmu... O, święta krowo!

MARIAN PIECHAŁ

również i ten fakt, że przez czterysta lat bez mała istniały tu przeróżne cechy rzemieślnicze, a nawet cech złotników. Jeszcze w 1800 roku zrzeszał on sześciu wybitnych mistrzów.

Stare to i zamierzchłe dzieje, których początków — kto wie czy nie należy szukać w XII w., kiedy to zrebry Widawę wznosili, wcale nie z własnej, a jedynie przymuszonej woli przetrwać zeszłości.

Od tego czasu wielokrotnie zmieniała swe koryto rzeka Widawka, zmieniała bieg i rzeczka Nieciecz. Wiele też

zachodziło zmian w życiu historycznej Widawy: przeżywała okresy wojen i okresy znakomitego rozkwitu, sześć razy płonęła i odbudowywała się, traciła i otrzymywała przywileje.

Widawa jest dzisiaj tylko osadą na prawach gromady. Ale, kiedy po tej kronice, podsumowującej dawne jej dzieje wstąpiliśmy do Prezydium Gromadzkiej Rady Narodowej, dowiedzieliśmy się, że już opracowuje się plan perspektywiczny, mający na celu podniesienie Widawy do rangi miasta. Może odżyją tradycje dawnej świetności tego miasteczka?

ELŻBIETA WRÓBLEWSKA

„Rodzina Jednorożców”

Ostatnio w łódzkim świecie literackim daje się zauważyć ciekawe zjawisko — poeci piszą nie tylko wiersze, prozaicy nie ograniczają się tylko do prozy. Świadczy to o skłonnościach do porzucenia nowego rodzaju profesjonalizmu literackiego i może doprowadzić do różnych konsekwencji — dobry poeta na pewno nieraz okaże się kiepskim prozaikiem — zdarza się też niespodzianki pozytywne. Metamorfozy te jednak noszą cechy eksperymentu i dlatego są intrygujące. Świadczy też chyba o wzrastającej żywotności naszej lokalnej literatury, o wzrastającej aktywności poszukiwań środków wyrazu

najwłaściwszych dla każdej indywidualności.

Ostatnio mamy do czynienia z jeszcze jednym przykładem takiej rodzajowej metamorfozy — poeta Tadeusz Chrościelewski przemienił się w Chrościelewskiego — prozaika — dzięki wydanej przez Wydawnictwo Łódzkie „Rodzinie Jednorożców”.

Autor nie dał się umieścić żadnemu z rodzajowych kanonów prozy. Nie można książki nazwać powieścią, bo fabuła przerywana jest nie tylko dużymi lukami losowymi, ale i pointami.

Nie można również traktować „Rodziny Jednorożców” jako zbioru niezależnych od siebie opowiadań, ponieważ prawie wszystkie mają wyznaczoną pewną rolę w całości — istnieją również związki między występującymi w nich osobami, istnieje pewna koncepcja, której poszczególne wątki są pod-

porządkowane. Autor odzwierciedla przeszłość po to, aby mieć podstawę w drugiej części książki do powrotów — są to albo powroty wspomnieniowe, albo koncepcyjne („Labirynt”), albo realne wycieczki w strony rodzinne („Pociąg”).

Książka Chrościelewskiego jest związana dość ściśle z ostatnimi skłonnościami prozy łódzkiej — jej ciągle i gromadnie „wspomnieniowe” lub metaforyczne ucieczki w przeszłość nie są chyba przypadkiem. Dużą rolę gra tu z pewnością poszukiwanie dróg wyjścia z prozy jednoznacznej, fabularnej. Wspomnienia, powroty w przeszłość stwarzają okazje podwójnego, relatywnego widzenia rzeczywistości, skłaniają do szukania sensu filozoficznego w wydarzeniach, ich metaforyzacji dzięki odległości czasowej, co pozwala powoływać do życia nowe próby rozwiązań formalnych.

Dzięki tym wszystkim momentom powoli, niedostrzeżalnie coś powieści zaczyna się przenosić z fabuły na aury, lub metaforę. Oczywiście istnieją również jednoznaczne książki wspomnieniowe, często o tendencjach autobiograficznych, nie mające takich ambicji, a bazujące głównie na efektywności wydarzeń w ich pojmie.

Do jakiego rodzaju literatury wspomnieniowej należy proza Chrościelewskiego? Już to, że autor nie zdecydował się na formę powieści, świadczy o tym, że nie chciał punktu ciężkości umieścić na fabule książki — odbiega od niej stale, zdradzając ciągłość wydarzeń na rzecz dygresji — są one bardzo różne; stanowią albo portrety psychologiczne albo obrazy rodzajowe, albo też mają najtrafniej charakterystykę czasu, w którym się działy. Widać jednak, że trudno jest autorowi zupełnie zrezygnować z ambicji autobiografu — czasem poświęca osobne części książki wydarzeniom, które są ważne dla biografii narratora, ale czy wnoszą one coś nowego i niezbędne do charakterystyki atmosfery czasu minionego? Takie pytanie nasuwa się przy „Balu maturalnym” — można by go ostatecznie umieścić w jakimś zbiorze wspomnień wojenno-okupacyjnych. Nie oznacza on nic więcej niż wydarzenia w nim opisane, a i one znaczą niewiele — co bowiem wynika z tego, że jakaś dziewczyna została słusnie lub niesłusnie posadzona o intymną kolaborację z okupantem i na konspiracyjnej bibelot publicz-

nie wychłostana? Pointa budzi raczej niesmak.

Podobnie „Pelnia” jest holdem oddanym nie najlepszym zresztą tradycjom powieści autobiograficznej — autor nie mógł sobie odmówić scharakteryzowania od strony raczej fizjologicznej pierwszych przeżyć erotycznych narratora — jest to znany schemat — w dodatku zupełnie niepotrzebnie te hłaskoidalne wyrażenia łączą się z sentymentalizmem — wyszedł z tego nie najlepszej jakości cocktail.

Trzeba jednak przyznać, że pierwsza, antybiograficzna i antypowieściowa raczej koncepcja książki częściowo dochodzi do głosu. Stara się Chrościelewski odwołać, uchwycić atmosferę czasów i stron swojego dzieciństwa — chwytą to, co wydaje mu się dla tej atmosfery najważniejsze — jakiegoś wuja, jakąś ciotkę, stary zegar „Tempus” i wykorzystuje to wszystko do swoich celów. Otrzymujemy z tego prozę lekką gatunkowo, niewieloznaczną, żartobliwą i ironiczną, ale bez żądla, często archaizowaną w języku osób powołanych w niej do działania. Symbole są raczej przejrzyste — jedno pokolenie od drugiego odgrada zegar z napisem: „Tempus”, tabliczka z imieniem szla-



Tadeusz Chrościelewski

chetnego doktora leży zapomniana w trawie itd. Z uwagi jednak na charakter książki jakaś głębsza symbolika by tu nie pasowała. Książka Chrościelewskiego świadczy o tym, że proza autora znajduje się w stadium krystalizacji — niejednolitość form książki jest dowodem eksperymentowania, poszukiwania najwłaściwszych form — od najprostszych („Bal maturalny”) do bardziej skomplikowanych („Labirynt”, „Pociąg”). Następna książka autora „Rodzina Jednorożców” będzie najlepszą odpowiedzią na pytanie, w jakim kierunku pójdzie jego proza.

1 WYWIAD NA TRZY TEMATY

BLASKI I CIENIE ŻYCIA ARTYSTY. CZYLI... WŁODZIMIERZ SKOCZYŁAS MOWI O SOBIE I SWEJ PRACY

— CZY MOŻE NAM PAN OPowiedzieć NAJZABAWNIEJSZE WYDARZENIE ZWIĄZANE Z PANSKĄ KARIERĄ AKTORSKĄ?

— Najzabawniejszym wydaje mi się fakt, że o ile dobrze pamiętam, w mojej karierze nie przydarzyło mi się nic zabawnego. Przypomniał mi się pewien fragment z czasów mojego pobytu w obozie. Z okazji jakiejś uroczystości występowałem recytując okolicznościowy wiersz. W pewnym momencie stwierdziłem, że publiczność jest raczej krewka, a dalszego ciągu wiersza to ja już sobie chyba nie przypominę, wobec czego na wszelki wypadek wołałem salwować się ucieczką przez okno. Podobna historia wydarzyła mi się niedawno z tą jednakże różnicą, że teraz nie miałem już pod ręką okna i musiałem mocno się nabledzić, żeby jakoś zamaskować sytuację.

— KTÓRĄ Z PRZYGÓD JAKIE PANA SPOTKAŁY UZNALBY PAN ZA NAJNIEPRZYJEMNIEJSZĄ?

— Może nie tyle nieprzyjemna co przykra w skutkach przyspoda spotkała mnie przy kręceniu zdjęć do „Mileczących śladów”. Robiliśmy scenę ataku podczas której pokonywałem przeszkodę w postaci plotka — oczywiście w pełnym rynsztunku — kożuch, buty, pepesza. Podczas skoku zawadziłem o plotek ręką tak fałtanie, że uległa złamaniu. Traf chciał, że następnego dnia kręciliśmy ujęcia, w których prowa dziłem auto. Nie było innej rady jak tylko zacząć zęby i jeździć. Druga moja nieprzyjem-

na historia to chyba fakt, że miałem nieszczęście wziąć udział w kabarecie „A kuku”.

— JAK POWSZECHNIE WIADOMO JEST PAN AKTOREM WSZECHSTRONNYM. CZY MOŻE NAM PAN POWIEDZIEĆ, W JAKIEJ DZIEDZINIE PRACUJE SIĘ PANU NAJLEPIEJ?

— To niebezpieczne. Jeżeli powiem, że w teatrze to film się obróci, i odwrotnie. Odpowiem inaczej — wszędzie pracuję mi się bardzo dobrze. Nie mogę zresztą narzekać na brak zajęć. W radio uczestniczę w koncertach „Z dywanikiem” i „Wesołym autobusie”. Ostatnio moje osiągnięcia w dziedzinie filmu można oglądać na ekranie w „Mileczących śladach”. Najlepiej chyba powiedzio mi się w teatrze. Trafiła mi się rola, o której śmiało mogę powiedzieć — wymarzona: w „Ich dwoje” Nie wiarowicza. Co sądzę o łódzkiej publiczności i krytykach? Publiczność serdeczna ale niezdyscyplinowana. Krytycy... cenią ich bardzo, ale przyznam się, że w większości wypadków nie rozumiem ich. Mam również swoje marzenia. Chciałbym kiedyś zagrać charakterystyczną, ale nie komediową postać w jakiejś współczesnej sztuce. Na razie jest to niemożliwe, bo z przyczyn dla mnie niezrozumiałych publiczność zaczyna się śmiać, kiedy tylko wejde na scenę. Moje hobby to film wąskotaśmowy.

Rozmawiał ŁUW

TADEUSZ GIGIER



Pomimo całej płci naszej zalety, my rządźmy światem, a nami — rakiety.

Przypominamy: Nieustający konkurs „ODGŁOSÓW”

na najlepsze fraszki
tygodnia i miesiąca

trwa

Warunki podaliśmy w poprzednim numerze

Dziwne pomniki

Godny podziwu pomnik znajduje się w Luksemburgu. Postawiono go na cześć jednego prosięcia i opatrzone napisem:

„Wędrowcze, wspomnij tutaj śmiertelne szczątki prosięcia, które zyskało sobie nieśmiertelną sławę, gdyż odkryło luksemburskie źródło lecznicze”.

Bardzo dziwną kopię Venus z Milo można oglądać w jednej z restauracji w Tokio. Ubrano ją w błękitną suknię ze sztucznego jedwabiu.

Pomnikiem, którego budowa trwała najdłużej, jest kolumna Nelsona na Trafalgar Square w Londynie. Jego budowa trwała 29 lat. Wydatki na pomnik, który ma 36 metrów wysokości, wyniosły 50.000 funtów szterlingów.

Amerykański rzeźbiarz John Browning wykonał na naturalnej wielkości rzeźby wszystkich kobiet, które kiedyś kochał i stracił. Gdy wykończył swoje dzieło, wystawił wszystkie rzeźby na sąsiednim cmentarzu.

Przed kilkunastu laty wystawiono w Wembley (Anglia) posąg księcia Walii... z masła.

(t.-j. b.)

„Nasz klient — nasz pan”



Pan zamawiał świeże jajko?

Rys. W. Orzechowski

PIÓRKIEM

po

aktualnościach

Podobno na imprezę Aero-klubu, która odbyła się 24 września na Lublinku, przybyło sporo panienek z łódzkiego deptaka.

Widocznie panienki te źle zrozumiały jeden z punktów programu imprezy, który brzmiał: pokaz modeli latających.

Jeden z ostatnich „Kramów z ilustracjami” (dodatek sobotni „Expressu Ilustrowanego”) zamieścił ankietę „Tylko dla czterdziestolatek” pt. „Czy jesteś wciąż młoda”, w której znalazły się m. in. takie pytania: — czy cieszysz się, gdy się

dasz do smacznie zastawionego stołu?

— czy lubisz wyobrażać sobie różne ciekawe wydarzenia?

— czy chętnie wychodzisz wieczorem?

Jak wynika z powyższego, kobieta, która chce być zawsze młoda, musi wychodzić wieczorem z domu.

W tym samym „Kramie” znalazł się wywiad ze Zbigniewem Cybulskim. Wywiad dość oryginalny, bowiem nie dwuznacznie mówi o tym, że chociaż reporter umawiał się z aktorem kilka razy, ten nie przyszedł nigdy na spotkanie.

„I znów przez telefon pełne wdzięku „przepraszam” uroczym roztargnionego Zbyszka Cybulskiego” — pisze dziennikarz.

„Uroczym roztargnionego...” Że też niektórzy dziennikarze nie unikają tak wdzięcznie nazywania rzeczy po imieniu.

W rubryce „Dla pań, dla pana, dla domu” — „Kulisy” nr. 39 zamieściły następujące ogłoszenie:

„Szampon do włosów w tubie tylko dla mężczyzn o przyjemnym zapachu — cena 6 zł.

A co mają zrobić mężczyźni, którzy w ogóle nie pachną?

Ogłoszenie zamieszczone w prasie łódzkiej 26. IX. br.: „Zakłady Przemysłu Odzieżowego im. dr Próchnika poszukują MODELA MĘSKIEGO w wieku od 20 do 30 lat o wymiarach: wzrost 175 do 180 cm, obwód klatki piersiowej 96 cm, obwód talii 80 cm, obwód bioder 104 cm o nienagannym powierzchności. Warunki do omówienia na miejscu.”

Warunki czego?

T. G-r

Pośmiejemy się...

Prezentujemy prospekt wyjaśniający sposób użycia młynka do kawy

Sposób Użycia

Prosimy naszego szanownego klienta, że uwzględnić zastępną wskazania w użyciu wazkiego młynka kawy

1. Młyn kawy młóć rękoma b 3 głównych częściach:

- a) torebka
- b) lejek z mlym
- c) korbo.

2. Kawa nasypać na lejek, przy czym ostateczne wieko obracać się na lewo albo na prawo aż lejek otwarty. Po napełnieniu wieko zamykać się przez obrót.

3. Kawa potem młota młóć wysypywać się w sposób następujący:

- a) zapomoca obrota wieka na lewo albo na prawo, przez co postawac otwarcie dla wybróżnania mlyna.
- b) lejek mlyna oddzielać się od torebke zapomoca przesuwania od widuka w tył do uderzenia i rozciągani do góry.

4. Regulowanie b grubym i cienkim dosięgać się, c mutrą umieszcznej b dolnej części mlyna.

5. Nim pierwszego użwania potrzebna wyjmować korbę ze torebki.

VEB SCHNITTWERKZEUGE- UND METALLWARENFABRIK
Klinenthal (Sachs.) 2

ZAGADKA TYGODNIA

Dziś zagadka historyczna. Nie jest ona zbyt skomplikowana, trzeba po prostu z trzech podanych odpowiedzi wybrać trafna. Mamy nadzieję, że jeśli nawet nasi Czytelnicy nie mają zbyt wielkiego zamiłowania do liczb — zagadka nie okaże się zbyt trudna.

1) Ile było wypraw Kolumba?

- a) dwie?
- b) cztery?
- c) trzynaście?

2) Ilu było braci Gracchów?

- a) siedmiu?
- b) dwu?
- c) pięciu?

3) Ilu było w Polsce królów ciekawych?

- a) ośmiu?
- b) czterech?
- c) jedenastu?

4) Ile było tzw. „cudów starożytności”?

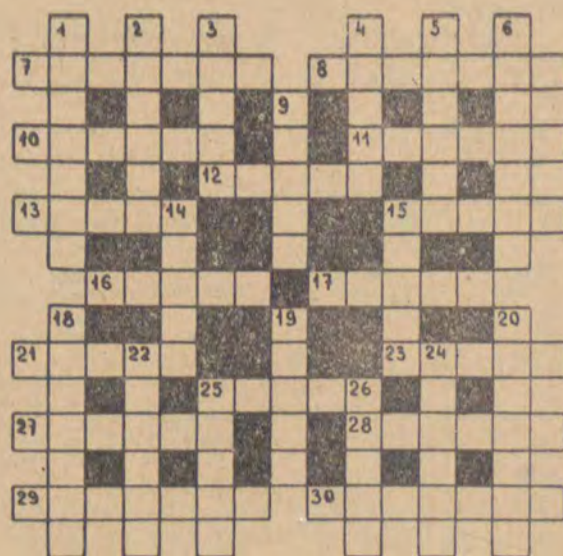
- a) dwanaście?
- b) siedem?
- c) trzy?

Rozwiązania należy nadsyłać wyłącznie na kartkach pocztowych na adres: Łódź, Piotrkowska 96, „Odgłosy”. Wśród Czytelników, którzy nadesłali prawidłowe rozwiązanie rozlosowane zostaną nagrody książkowe.

Rozwiązanie z nr 38
Szolochow — „Zorany ugor”, Szekspir — „Burza”, Dante — „Boska komedia”, Krasiński — „Nieboska komedia”, Erenburg — „Burza”, Dąbrowska — „Noce i dnie”, Wiktor — „Orka na ugorze”, Simonow — „Dni i noce”.

Nagrodę otrzymuje p. Kazimierz Pleśniak, Warszawa 25 Raclawicka 25 m.10

Nasza KRZYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów:

Poziomo — 7) Rodzaj poduszki wypchanej włosiem albo zawierającej sprężyny, 8) Ruchoma zasłona, 10) Pieńdz metalowy, 11) Chęć do jedzenia, 12) Żart, 13) Rzemieślnik, 15) Kontur, 16) 5:5, 17) Owad, 21) Droga albo ulica wysadzona po obu stronach drzewami, szeroka ulica, 23) Kamień szlachetny, 25) Zespół zawodowych tancerzy i tancerzy, 27) Państwo

Europejskie, 28) Imię męskie, 29) Gasi pożar, 30) Malutkie rybki; młode siły przygotowywane do zastąpienia starszych.

Pionowo — 1) Aeroplan, 2) Filozof rzymski, wychowawca Nerona, 3) Prymitywny budynek mieszkalny, 4) Okle pane powiedzenie, 5) Powóz, 6) Autor utworów literackich wyszydzających i ośmieszających wady ludzkie, 9) Pry-

mitivny środek lokomocji, 14) Jodla karpacka, 15) Towarzysz sztuki drukarskiej, 18) Ziemia, Jowisz, Neptun, 19) Lody z kremem i owocami, 20) Sprawdzający błędy przy wejściu do kina, teatru itp., 22) Imię męskie, 24) Rączka, rękojeść, antaba, 25) Pakunki podróżnego, 26) Narodowość lub potrawa mięsna.

Termin nadsyłania rozwiązań — 2 tygodnie.

Rozwiązanie krzyżówki z nr. 33

Poziomo — oberek, ananas, rezon, bolero, tabela, warg, agawa, lubin, szpilka, proteza, potas, banan, talia, roko, retusz, runda, skryba, narada.
Pionowo — obrona, krzepa, mazurek, baobab, Tallin, krowa, antał, Gopło, wilga, ugoda, Irena, polonez, plotka, trotyl, stora, baran, natura, nasada.

Nagrody książkowe za rozwiązanie krzyżówki wylosowali:

1. Barbara Kraszewska, Łódź, ul. Nowotki 4 m. 45
2. Bogdan Józefowicz, Bardo k/Ostrowca, Ocieski, powiat Kielce

odgłosy str. 9

Redaguje Zespół * Wydawca: Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 96. * Tel. 244-79 * Warunki prenumeracji: miesięcznie zł 4,-, kwartalnie zł 12,- * Redakcja nie zamawia ani nie odpowiada za treści ogłoszeń. * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 2885 X. L 4

Rozmyślania
przy
telewizorze

Wyróżnienie



Piękne buzie na ekrany telewizyjne! To nasze nowe hasło.



Zawsze musimy się czymś wyróżnić. Kiedy powiedzmy, że nasi telewizorzy przestają już zwracać uwagę na buzie niektórych łódzkich speakerów telewizyjnych, to na tapetę wchodzi sprawa rozbudowy naszego ośrodka TV, powiększenia jego zasięgu, poprawienia jakości nadawanego obrazu. Sprawa ta ciągnie się już od dłuższego czasu, pewnie dlatego, że nikt nie uważa się za powołanego do wystąpienia z inicjatywą zorganizowania Społecznego Komitetu Rozbudowy Telewizji. Łódź jest ponoć jedynym miastem w kraju, które takiego komitetu nie posiada. Zastanawiam się, czy to jest dobre, czy może jest to tylko efekt bierności, że nikt nie chce się zaangażować w budowę stacji, zakup aparatury itd. funduszy składkowych, społecznych, oszczędzających na młastu wielkich starań i zabiegów o pieniądze, a potem o całą inwestycję. Stoczyliśmy — jak państwa — tylko jeden wielki bój ze Śląskiem, który koniecznie chciał mieć u siebie całą stację nadawczą La Radio Industrie, tę którą mamy w Łodzi. Ostatecznie Śląsk ukontentował się znacznie lepszą i trwalszą aparaturą angielską Marconiego, teraz z funduszy społecznych rozbudowuje studio, zasięg Katowice wynosi ponad 100 km, a nasz?

Inżynierowie z łódzkiej TV twierdzą, że aparatura przeznaczona na pracę jest już na wykonczeniu. Łącznie z programem przemysłowym nadawanym dla warsztatów naprawiających telewizory, z audycjami szkolnymi i normalnym programem nadajnik przeszedł 12 godzin na dobę przez cały tydzień. Trzeba pomyśleć już o nowym aparaturze. Ta nie spadnie nam z nieba jak pierwszy. Przyjęto nowe zasady finansowania inwestycji radiowo-telewizyjnych. Społeczne Komitety Rozbudowy finansują w znacznej części te przedsięwzięcia. Czy naszemu województwu nie jest potrzebny, nowy silny, o dużym zasięgu (obecny wynosi około 60 km) nadajnik TV? Czy w wielu wsiach i miasteczkach położonych na kresach województwa ludzie nie chcą oglądać programu telewizyjnego.

Któż więc wystąpi z inicjatywą? Telewizja? Chyba nie bardzo jej wypada? Prasa? Mogłaby, ale co by na to powiedział Wydział Kultury Wojewódzkiej Rady Narodowej? Zakłady pracy z terenu województwa? Te mogą pomóc finansowo, ale... Ale kto zacznie? (m)

Opinie współpatrujących

Ze cała Polska, jak to się zwykle pięknie mawia i pisywać „od Bałtyku po Karpaty” nie tylko dość regularnie ogląda program telewizyjny, ale również wyraża na jego temat najrozmaitsze opinie — to jest wiadome i pewne. Wyrażają się te sądy w rozmowach prywatnych; listach, publikacjach prasowych i tak dalej — miał świętą rację Kazimierz Kunicki pisząc na łamach „Prasy Polskiej”, że „...o ile audycje telewizyjne zupełnie nieraz blache i mało istotne budzą spory rezonans, o tyle oddźwięk programów radiowych należy do rzadkości, najczęściej zresztą jest to oddźwięk informacyjno-laurkowy z okazji jakiegoś okrągłego jubileuszu radiowego”.

Autor miał wprawdzie tu na myśli, wydaje się, jedynie materiały dziennikarskie, wiemy jednak choćby z własnego doświadczenia, że również w rozmowach przy kawie, w kółkach, niepojemnie częściej mówi się o młodej muzyce telewizyjnej, aniżeli o zaawansowanej w latach i bogatej w doświadczenia muzyce radiowej. Zafascynowanie nową techniką? Zapewne, faktem jest jednak, że to zafascynowanie nie przynosi telewizji niesłychanie bogaty i różnorodny materiał porównawczy. TV wykorzystuje go, bądź nie i program toczy się dalej swoim torem.

Chodziłoby jednak, aby TV wykorzystywała ten materiał stale i — co więcej — jakoś komunikowała autorom, które z ich uwag zostały do wiadomości przyjęte i do realizacji przekazane. Takim rzeczniczkim w przekazywaniu uwag telewizji dyrektorowi Pańskiego jest co prawda red. Lech Pijanowski — ostatnią rozmowę przeprowadził powołując się nawet na „Odgłosy”, co sprawiło nam oczywiście niejaką satysfak-

cję — wydawać by się przecież mogło, że red. Pijanowski zbyt rzadko sięga po bogaty serwis prasowy. Na pewno bowiem myli się Tadeusz Domaniewski na łamach „Przeglądu Kulturalnego” i o „Przeglądzie Kulturalnym”, iż „Tygodnik ten — jako jedyny w Polsce — od roku posiada stałą, cotygodniową rubrykę recenzji telewizyjnych”. — takich tygodników jest znacznie, znacznie więcej, nie mówiąc już o prasie codziennej (choćby łódzki „Głos Robotniczy”) poświęcającej TV sporo miejsca i to nie raz jak najbardziej regularnie.

Mówiąc o zbyt rzadkim wykorzystywaniu sygnałów prasowych, nie chcę powiedzieć iż sąd redaktora Iksa czy Ipsylona, musi być zaraz — z racji, powiedzmy, szczególnych kwalifikacji zawodowych — bardziej ważki niż opinia lekarza Alfego, czy inżyniera Bety. Wcale nie, tyle tylko, że owi redaktorzy Iks i Ipsylon zobowiązali się wobec pisma, iż będą dostarczali regularnych materiałów telewizyjnych, muszą nie raz i nie dwa zrezygnować z brydza czy herbatki, na rzecz oglądania określonej audycji. Siedzą program bardziej systematycznie, z większym — kusi mnie to słowo — samozaparciem i normalną rzeczą koleją się w nim lepiej „rozpakowani”.

Mógłby tedy red. Pijanowski być również rzeczniczkim dziennikarskiej braci; my tu w Łodzi jesteśmy ostatecznie nie tak daleko od Warszawy, ale nie byłoby, aby dyr. Pański odpowiedział kiedyś na artykuły kolegów ze „Słowa Ludu”, czy — powiedzmy — „Gazety Zielonogórskiej”.

Nam, owszem, odpowiedział. Red. Pijanowski — za co podziękowanie — przeczytał w pełnym brzmieniu kilka akapitów artykułu, w którym usilowaliśmy to i owo przepowiedzieć. Sprawa, przypominam, tyczyła

dramaturgii telewizyjnej, braku oryginalnych pozycji na małym ekranie — z pewnym smutkiem sugerowaliśmy, iż niepoślednią rolę w tym tu odgrywać będzie materiał, gdyż dramaturgowie bardziej się po prostu oplanią, pisząc na scenę, niż dla TV.

Dyrektor Pański głową pokiwawszy powiedział, że owszem, że „na pewno wiele prawdy w tym jest, jakieś 95%”, po czym poinformował, że jednak telewizja czyni w tym kierunku poważne wysiłki chociażby przez ogłoszenie kolejnego konkursu.

Cóż, poczekamy, to chyba jedyne, co możemy zrobić.

Poczekamy również na to, co zamierza pokazać w najbliższym czasie telewizja krakowska. Jak donosi „Panorama” — „miejscem kostiumowych inscenizacji ma być autentyczna sceneria niektórych sal wawelskich. Planowany na najbliższą przyszłość recital Kazimierza Pustelaka, transmitowany będzie z Barbakanu. (...) Znany już w Krakowie „teatr na kółkach”, będzie prezentował swoją sztukę pod ciekawymi fragmentami starych murów Krakowa. (...) Kabaret dla dzieci będzie się nazywał „Czwórka z podwórka”. Autorzy pragną nadać tej serii konwencję zupełnie odmienną od „Teatru z Violinek”. Program ma mieć charakter nie popisów, a wesołej zabawy na autentycznym podwórku”.

Słowem — cud. Fakt, iż Kraków nie ma dotąd własnego studia telewizyjnego, a dysponuje li tylko wozem transmisyjnym sprawiło, iż telewizja rada nie rada poczęła szukać ciekawych plementów, ciekawego otoczenia dla planowanych audycji. I o tym również pisaliśmy już wcześniej, i do tego również tęskniliśmy, może nie w skrytości ducha, a na łamach naszego pisma.

Na koniec tego przeglądu „opinii współpatrujących” raz jeszcze sięgnijmy może po „Prasę Polską”. W cytowanym już wyżej artykule Kazimierz Kunicki stawia tezę, moim skromnym przynajmniej zdaniem, ogromnie istotną i przekonującą.

„Poszukiwanie przez telewizję — pisze — swoich własnych form dziennikarskich, publicystycznych jest sprawą wartą najwyższej uwagi i dyskusji. W tych poszukiwaniach można czasem zauważyć u nas przejściowe kroki wstecz. Za taki przykład uważam np. ostatnio zastąpienie mówionego komentarza tygodniowego na temat sytuacji międzynarodowej przez film i zdjęcia, obok których mówione jest słowo. Zmiana idzie na pewno w kierunku większej obrazowości, zarzut mógłby się więc wydać paradoksalny. Ale pozornie tylko — bo jeśli mówimy, że cechą telepublicystyki jest rozmowa z widzem, wciąganie go do niej, to sądzę, że właśnie akurat w przypadku komentarza znacznie żywiej i sugestywniej — niż bezosobowy tekst do mnie lub bardziej skąpego i różnie skomponowanego materiału zdjęciowego — może tę rolę spełniać żywy, występujący na ekranie komentator o dużej, oczywiście, indywidualności”.

Zwracam uwagę na sformułowanie „ostatnio”, na zwrot „o dużej indywidualności” — przypomnijmy sobie chociażby znakomite pogadanki, czy jak to ktoś chce nazwać, prof. Sawickiego i zastanówmy się może nad tym troszeczkę. W tym coś jest, trzeba tylko szukać właśnie tych „dużych indywidualności”, z większym powodzeniem, niż szukaliśmy kiedyś na naszym łódzkim podwórku „postaci telewizyjnych”.

JERZY PANASEWICZ

Uwaga, Czytelniku!

SKORO JUŻ POSTĄPIŁŚ TAK ROZSĄDNIEM I KUPIŁŚ NINIEJSZY NUMER, PROSIMY, NIE ZAGAB SIĘ I KUP RÓWNIEŻ NUMER NASTĘPNY.

CHCIELISMY CI COŚ ZAPROPONOWAĆ.

Pamiętasz może, ile razy pisaliśmy, że taniec — szczególnie formy kameralne i to od razu, jeżeli chodzi o układ, pomyslane na mały ekran — powinien być nieustannie wizerunkiem, atrakcyjnym, interesującym w oglądaniu.

Otoż jest w tej materii już o wiele lepiej, taniec klasyczny (natomiast nie układy typu rewiowego, ale to już inna sprawa, ponieważ niewiele mamy w ogóle tancerzy w tym rodzaju) jest coraz częściej reprezentowany na małym ekranie, na ogół z niezłym nawet efektem.

Również i Łódź da w dniu 21 bieżącego miesiąca koncert lolo-

stów, w którym między innymi weźmie udział solistka Opery Łódzkiej JANINA NIESOBKA i solista tejże Opery, zarazem asystent prof. Parnella — EUGENIUSZ KOWALCZYK. Ten ostatni podejmuje również stronę choreograficzną, to znaczy układy, natomiast reżyserem telewizyjnym będzie KAZIMIERZ ORACZ.

Umówiliśmy się z tą trójką. Chcemy w obszernym, bogato ilustrowanym materiale, który znajdziecie za tydzień na tym miejscu, pokazać Ci jak rodzi się taniec i jakim podlega zabiegom, zanim przeniesiony będzie na mały ekran.

Powiemy Ci o trudnościach, obawach, samej koncepcji, słowem wszystko niemal, co da się na ten temat powiedzieć — Ty zaś kilka dni później będziesz mógł porównać zamierzenia i realizację. Mamy też nadzieję, że podzielił się z nami swoją opinią — czy zgoda?



Z całą pewnością — układ rewiowy. Też pomieściłby się w studio telewizyjnym.

PROGRAM

na najbliższe dni

CZWARTEK — 12. X. 61

10.00 Program dla szkół: język polski kl. V i VII „Kto zwinął” z cyklu: „O miejsce wśród ludzi” (W). 10.40—16.55 — Przerwa. 16.55 Program dnia (Ł. lok.). 17.00 Wideo lalkowe dla dzieci „Baśń o górniku Bulandrze” wg Gustawa Morcinka. Transmisja z Teatru (Kat.). 18.25 „Poletko pana Polaka” — progr. z cyklu „O wsi dla wszystkich” (W). 18.55 Koncert utworów na dwa fortepiany. Wykonawcy: Karl Peter, Pietsch i Hans Langer — artyści austriaccy (Ł. ogólnop.). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 Maszynowy Wolski (W). 20.30 PKF (W). 20.45 Teatr „Kobra”. „Aż do strzała” — widow. sensac. Reż J. Gruba (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

PIĄTEK — 13. X. 61.

16.30 Program dnia (Ł. lok.). 16.35 „Od Ikara do Gagarina” — progr. publicystyczny dla młodzieży z Poznania (Poznań). 17.05 Program publicystyczny „Nie przeświadczo interesom” (Ł. lok.). 17.20 Film rysunkowy prod. angielskiej z serii „Przygody dziwnego psa „Huckeberg” (W). 17.50 „Znak zaufania” — program publicystyczny (W). 18.25 Wszelchnia telewizyjna: II program z cyklu: „Azja” (W). 19.00 Dziennik telewizyjny (W). 19.30 „Złoty cielik” — komedia III i IV Eugeniusza Pietrowa. Transmisja z Teatru „Komedii” w Warszawie (W). 21.45 Ostatnie wiadomości (W).

SOBOTA — 14. X. 61.

11.00 Program dla szkół: „Geografia”. „Warszawa — miasto milionów” — program z cyklu „Poznaj swój kraj” (dia klas VII) (W). 11.30—17.00 — Przerwa. 17.00 Program dnia i program tygodnia (Ł. lok.). 17.15 Program dla dzieci „A co dalej?” — kstążki dla najmłodszych (W). 17.30 „Królewna ze złota gwiazda” — film fabularny (baśń) prod. czeskosłowackiej dla dzieci (W). 18.45 „Spożyczenia i opinie” (Ł. lok.). 19.15 Rozmowy o programie (Ł. lok.). 19.30 Dziennik telewizyjny (W). 20.00 „Płock leży nad Wisłą” (tvt, roboczy) — program publicystyczny (W). 20.30 „Dotknięcia Venus” — film fabularny prod. USA (dzwoniony od lat 16) (W). 21.55 PKF i film krótkometrażowy (W). 22.15 Ostatnie wiadomości (W). 22.30 „Wielny robot” — pr. rozrywkowy w reżyserii Janusza Majewskiego (W).

Kwintusiemu ODBIOR

W sobotni wieczór — tradycyjny termin teatralno-wizytowy — dancistowskich atrakcji — nasępuje u nasowego telewizora przykre rozdarcie serca: chciałby pójść tu i ówdzie, a tymczasem program zapowiada się zazwyczaj wcale interesujący. Pięknym jest tedy gestem ze strony TV przesuwanie popularnych audycji rozrywkowych na godziny późniejsze, powiedzmy na 22.30, jak ostatnio. Wtedy nawet z teatru,

str. 10 **odpłosu**

Paragonia

nam, to ten, że był bardzo długi i bardzo nudny.

Stanęwo za długi i za nudny, jak na mój gust. Kopalnia odkrywkowa satyrycznych rupiec — wszystkie wyświechtane, sto razy ograne pomysły i tematy, zostały odgrzebane, odgrzane i podane na stół, przy czym pe-

chowu trzynastka (13-ka!) wykonawców celebrowała tekst z niesmakiem cedząc go przez zęby.

A rzecz zaczyna się tak, że przy akompaniamencie świstów i gwizdów pojawia nam się na ekranie pan w meloniku. Zapytany przez Jarema Stępowskiego, kto zacz, odpowiada: — Wenusianin jestem.

Na to Stępowski: — Panie, u nas za ten dowcip to już w mordę leją...

Oj, nie tylko za ten...

P.S. Natomiast za prawdziwą satysfakcją oglądaliśmy „Kolegium” Mariana Promińskiego w reżyserii Jerzego Gruzy, m. in. z Edwardem Józefowskim i Bronisławem Pawlikiem w rolach prowadzących, która to pozycja zrealizowała TV w niedzielę w ramach „Estrady Literackiej”.

Pomysłowa robota realizatorska, cieniaki dowcip, ładne tempo, czysta praca kamer. Miniaturka, a ile się człowiek naciężył...

Zmierzch telekonkursów

„Trzy po trzy”

Nastaje kres teleturniejów i radiozgodu. „Zgaduj-Zgadula” Rokity i Przybylskiego przekształca się w wielką imprezę reklamową, wędrowny cyrk z cennymi nagrodami, działający pod oszalałym neonem Polskiego Radia. Kryzys przechodzi teraz telekonkursy. Dowodem tego była niedzielną audycja „Trzy po trzy” w której brała udział sama elita intelektualna — zwycięzcy poprzednich cykli audycji „Kółko i krzyżyk”. Tym co nie oglądał, powiedzmy, że trudnością konkursu polega na kolateralizacji, czyli na najprostszej formie myślenia. Pokazuje facetowi trzy przedmioty: dwie obrączki, fotografię ołtarza Wita Stwosza i dwa listy w których są zasuszone fiołki. Ten pan nazywany doktorem (najprawdopodobnie jednak medycyną) długo, barykadowo się głowi i w końcu powiada że chodzi tu o jakiś ślub. Pewnie. Skołowanie bar-

de dziecko wie, że droga najprostsza można by to wszystko skojarzyć z K. I. Gałczyńskim. I tak dalej, zagadki tej trudności. Telewizorze mieli dużo satysfakcji, gdyż jak powiedzieliśmy, nawet małe dzieci błyskawicznie raz po raz trafnymi odpowiedziami. Tylko smutno było wszystkim, kiedy nastąpiła chwila wręczania nagród: znów cenne radioodbiorniki, tranzystorowe, bony do PDT i „Gallux”. Za co, na Boga za co? Za zabawę? I to w tym samym czasie, kiedy tłumaczy się telewidzom, że na porządne koncerty, rozrywki, na audycje satyryczne i na inne honoraria telewizja nie ma pieniędzy.

Należy się spodziewać, że już niedługo przemity pracownik „Orbisu” będzie miał nie tylko telewizor, nie tylko radio tranzystorowe ale i samochód wydany na telekonkursie. Co będzie jednak gdy zaprzagnie wejść w posiadanie samolotu? Ciekawe, oryginalne, bo każ-

CZ

ZBIGNIEW NIEACKO

Worek JUDASZÓW

Przeorysza dotknęła palcami jego ramienia.

— Proszę się nie lękać. Tu panu nic nie grozi. Znamy miejsca, gdzie nikt pana nie znajdzie.

— Nie boję się...

— Jeśli nadejdzie niebezpieczeństwo, przyjdzie po pana siostra Anastazja. Proszę jej zaufać...

Głośno przełknął ślinę. Spojrzeli sobie w oczy. Dłoń przeoryszy dotykała ciagle ramienia Alberta. Nie potrafił znieść jej natarczywego spojrzenia.

— Siostrze — powiedział gwałtownie. — Nie wolno mi tu pozostawać. Wnoszę tu grzech, śmierć, niepokój.

Opuścił głowę na piersi. Wiedział, że ma piękne włosy. Nad uszami zwijały mu się w miękkie kędziory. Kobietę lubił je dotykać.

Palce mniszki uwolniły jego ramię.

— Przede wszystkim grzeszy pan pychą...

Usłyszał szelest habitu. A gdy podniósł oczy, przeorysza zniknęła za drzwiami.

Zasiadł do katalogu, ale nie był w stanie zainteresować się jego zawartością. Zrezygnował, panował w nim wielki nieład; wyblakłe, żółtkłe, prawie nieczytelne kartki tworzyły w niedużej skrzyneczce zupełny chaos nazwisk i tytułów. W kącie biblioteki odnalazł krótką drabinkę i dostawił ją do półek, które oblepiały trzy ściany dużej sali. Przeglądał tylko książki w starych oprawkach. Dzieło Casaubona wydrukowane było w 1659 roku.

Trzy okna wąskie jak strzelnice dawały niewiele światła. Zapalił brazowy żyrandol, cztery anioły dzierżące w dłoniach żarówkę. Odkrył, że półki z książkami zakrywały jakieś malowidła ściennie. Począł pośpiesznie usuwać książki obnażające zatajone freski. Wkrótce dłoń miał brudną od kurzu, zmoczył się zdejmowaniem ciężkich, oprawnych w deski foliów.

Najpierw zobaczył Chrystusa na krzyżu. Przerzął swą chudością, wzdęta jak balon klatka piersiowa, zapadłym brzuchem; wszystkie stawy rąk i nóg miał opuchnięte jak reumatyk, rysy twarzy wykrywione cierpieniem. Odstraszał, wstrząsał, jak fotografie umarłych z głodu więźniów Oświęcimia, a przecież twórca tego ukrzyżowanego Chrystusa malował chyba przed trzystu laty.

Albert podsunął drabinkę na drugą ścianę. Znowu zdejmował ciężkie, grube tomy, parszając od kurzu. Zobaczył nagą pierś kobiety. Jedną, a potem drugą. Było coś bardzo nieprzyzwoitego w ich dużych, przeźnyczych kształtach. Usunął książki prawie ze strachem zerkać na drzwi. Czuł się jak by po pełnił kradzież: jak by obnażał żywą kobietę.

Była to Ewa wypędzona z Raju. Grzbioty książek zastanawiały Anioła. Albert widział tylko jego rękę i ognis-

ty miecz. Ewa odchodziła ze spuszczoną głową, naga, z dużym brzuchem kobiety ciężarnej. Czarny warkocz wili się koło jej szyi, jak wąż — kusiciel, lewą dłonią zasłaniała łono, prawą dotykała przepelnionych mlekiem piersi. Twarz jej nie wyrażała skruchy. To odchodziła z Raju jawno grzesznica schwyta na gorącym uczynku. Jej spojrzenie wydawało się zawołane, na ustach zawisł lekki uśmiech.

Zachwycony freskiem szybko zdjął Albert książki zastanawiające twarz Anioła. I nie zawiadło go podejrzenie. Archaniołowi nadal malarz rysy starego złoźnika i lubieżnika. To nie był wypędzenie Ewy, a raczej wypędzenie dziewczyny, która okazała się cieźarną. Tak malarz ów pojął spożycie owocu z Drzewa Wiadomości.

Szczeknęła klamka u drzwi. Albert odwrócił się gwałtownie, w drzwiach biblioteki stanęła konwerska. Jak by nie zauważyła sterty książek u stóp Alberta, i wzywającego malunku na ścianie.

— W krużganku czeka na pana siostra Anastazja. ONI już przyszli...

Wybiegł z biblioteki... Obok filaru stała mniszka. Nie miał wątpliwości. To była kobieta z pociąg. Zobaczył swoją walizkę, a na niej płaszcz, kapelusz, wszystkie rzeczy, które pozostawił w celi. W milczeniu podała mu kaburę z pistoletem i wąski pasek. Wychodząc do biblioteki ukrył pistolet pod sieni-

— Kto przyszedł? Co się stało? — teraz gdy miał w ręku swój pistolet czuł się pewniejszy.

— Siostrze nie wolno rozmawiać — wtrąciła konwerska.

— Oni są w refektarzu.

— ONI?

— Chęć schwytać tego, co spadochron zostawił pod lasem. Podejrzewają, że u nas się ukrywa... Proszę iść za siostrą.

Poszedł. Wprowadziła go do części kościoła zastrzeżonej dla zakonnic. Była to mroczna kaplica. Wskazała mu wejście do podziemi. Zapaliła świecę.

Objuczony walizką ostrożnie schodził w ciemną głąb. Zawarła za nim drzwi. Oszołomiony ciemnością czekał aż ze świecą w ręku zbliży się do niego i poprowadzi dalej. Podziemie pod kościołem wydawało się rozległe, ale było ciasno zapchane trumnami. Jedne na drugich leżały poukładane jak sagi drzewa — długie, czarne, zbutwiałe. Niektóre z nich miały chyba setki lat, te na spodzie zapadły się pod ciężarem tych na wierzchu. Z peknąć, szczelin i łam wysypywał się szary proch, kawałki spróchniałego drzewa mieszały się z czerepami czaszek, skrawkami zetłalej odzieży, piszczałkami rak i nóg. Powietrze było tu suche jak pieprz, drażniło w gardle nieprzwykłą wonią próchna i starych kości.

Zwrócił uwagę, że przejścia między stertami trumien są starannie wymiecione. „Któż by się po nich spodziewał aż takiego sprytu?” — pomyślał o zakonnicach. — „Pamiętały, że kurz utrwała ślady kroków”.

Bez najmniejszego wahania wiodła Alberta wąskimi przejściami wśród trumien; wiedziała gdzie należy się schylić, by nie zawadzić głową o łuki wspierające powagę, gdzie trzeba zatrzymać się i uważnie przekroczyć rozbite wieko, które zsunęło się na posadzkę. Dobrze wreszcie w lewy kąt podziemia. Pochyliła świecę ukazując mu wielką blaszaną trumnę. Zrobiła krótki gest, ale w lot ją zrozumiał. Porzucił walizkę. Blaszana trumna okazała się lekką, pustą. Odsunął ją bez żadnego wysiłku. Zakrywała wąski, prostokątny otwór ze schodami.

Anastazja zeszła pierwsza, w lewej ręce trzymając świecę w prawej walizkę i płaszcz Alberta. Ten wyczuł pod trumną uchwyt. I gdy przestąpił kilka stopni, z powrotem zasłonił otwór do niższych podziemi.

Naliczył dziesięć stopni. Anastazja zgasiła świecę. Albert uczył na wsie piersi dotknięcie jej ręki. Odnalazła jego dłoń i trzymając za rękę pociągnęła go za sobą, jeszcze kilkanaście metrów.

Nie przedostawał się tu żaden promień światła ani najślabszy dźwięk. Nie wiedział gdzie się znajduje — w podziemnym korytarzu, studni, czy znowu w jakiejś rozległej piwnicy pośród rozwalonych trumien. Powietrze było świeże, o wiele przyjemniejsze niż w pierwszym podziemiu. Niekiedy Albert chwycił nozdrzami jakby delikatny zapach smaru.

Pochnęła go na jakieś szerokie duże skrzynki. Usiedli obok siebie, wsparci plecami o kamienny chropowaty mur.

Anastazja była blisko Alberta. Nie widział jej oczu ani sylwetki. Słyszał tylko przyspieszony oddech i czuł na swej twarzy ciepło tego oddechu. Jego biodro stykało się z kolanem Anastazji. Mógł je dotknąć, mógł wziąć ją w ramiona. „Chyba nie broniliby się — ten zakonny habit był przecież tylko maskaradą. Może właśnie cenila śmiałość — jak że śmiały był ten zamach na pociąg, w biały dzień, na bardzo uczęszczanym szlaku kolejowym?”

Chciało mu się palić. Zaledwie jednak zagrzechotały w pudełeczku zapalki, usłyszał jej głos.

— Proszę nie palić. Tu jest trotyl...

Siedzieli na skrzyni z trotylem. Jak duże było to pomieszczenie? Ile w nim ukryto skrzyń? Czy tylko trotyl? Nozdrza chwyciły wciąż zapach smaru. Znał go z woj-ska. Tak pachniało w zbrojowni, w składach nawazelinowanych broni.

Odezwał się półgłosem:

— Jechaliśmy w tym samym przedziale, pociągami, z którego zrabowano milion złotych.

Milczała.

— To było przedwczoraj... — powiedział.

Milczała. Wydawało mu się, że zataiła oddech w piersiach. Jakby szczykowała się do uderzenia.

— Była pani ubrana w karakulowe futro. Jest pani bardzo ładna. To zwraca uwagę. Obok takiej kobiety nie przechodzi się obojętnie.

Przypominał sobie obraz z biblioteki; duże wypełnione mlekiem piersi. „Dlaczego szatana w raju malują zawsze jako brzydkiego, odstraszającego węża? Czy nie jest to znak, że kobiety skusić można nie urodą, pięknocią, ale... słowami, obietnicą?”

— Nie powinna pani brać udziału w napadach. Ma pani zbyt wzywającą urodę. Przez te dwa dni nie utraciłem pani z pamięci. Pamiętałem panią, włosy, białą cerę, oczy...

— Ciszej, na litość boską — syknęła.

Ale otaczała ich cisza, znikąd najdrobniejszego dźwięku.



Albert zacisnął usta i milczał. Czas dłużył się, poczynił mu ciężko. Dusił się w tej ciemności. Nieruchome siedzenie na skrzyni wydawało się torturą. Och, ile by dał za to, aby móc wiedzieć, jakie myśli krążyły w tej chwili w głowie siedzącej obok kobiety?

Kilkakrotnie już wyciągał rękę, żeby objąć Anastazję. Brakowało mu odwagi. Bał się. A przecież, co najwyżej mogła go odepchnąć, wymierzyć mu policzek.

— Jeszcze dzisiaj stąd odjadę. Przybyłem tu chyba niepotrzebnie... Czy możliwe, że nie spotkamy się nigdy więcej?

Milczała. Przygryzł wargi. Starał się nie pamiętać, że ona siedzi obok niego. Przykrył oczy, chciał zasnąć. Na próżno.

Jak przełamać jej milczenie? Może powiedzieć, coś, co by nią wstrząsnęło, co by ją przeraziło? Coraz bardziej czuł się wobec niej bezsilny.

— Szukam w klasztorze dzieła Casaubona z 1659 roku. Niestety, w katalogu jest bałagan, nie sposób zorientować się czy wasza bibliote-

ka w ogóle posiada taką książkę. Wyjeżdżam stąd dziś wieczorem. Jak się do pani zwracać? Siostrze Anastazjo? Czy pani Anastazjo? Kim pani jest naprawdę? Za konnicą, czy konspiratorką? Zle na pani leży biały habit. Czego pani szuka w klasztorze? Tu już wszystko umarło. Te mniszki w czarnych trumnach ułożone w tym podziemiu w ciągu stuleci prawie niczym nie różnią się od tych, które jeszcze trwały w swych celach śpijąc w kościele, spacerując po ogrodzie. Wyrzekły się życia. Wyrzekły się wszystkiego, co je wiązało z życiem — uśmiechu, słowa, piękna, smutku, troski, żalu, radości. Żywcom zamurowały się w swym milczeniu i odosobnieniu. Wszystko co ludzkie jest im obce, niechętne, niepotrzebne. Istnienia swego nie zaznacza nawet drobnym śladem działania. Nie są potrzebne ani Piekłowi, ani Niebu. Bóg ich nie przyjmie. Odepchnię, bo nie są podobne do człowieka, ani razu nie dotknęły ziemi. „A kto ziemi nie dotknął ani razu...” pamięta pani dalej?

Kpił, sztydził z niej, napał, obrażał. Mówił w próż-

nię. Słyszał tylko własny głuchy głos.

— Zupełnie niepotrzebnie sprowadziłeś mnie do tej piwnicy. ONI nie mogą mi nic zrobić. Mam na nich lekarstwo, Siostra sądzi, że odnajdą tego spadochroniarza?

Poruszyła się na skrzyni. Wstała. Minęła Alberta. Doszła go oddalając się stukot jej sandałów. Zaszurała trumna zakrywająca wejście do podziemia. Potem zapadła cisza. Pozostał sam.

Zaklął półgłosem. Znowu zaklął, już głośniejszym głosem. Kłął brzydko prawie krzycząc. Wreszcie zmęczył się, zamilkł. Nadsłuchiwał.

Odważył się pomyśleć, że wpadł w pułapkę. Zamknięto nad nim wieko trumny, został żywcem pogrzebany. Trumnę zamurują, zaleją cementem. Nikt nie usłyszy jego wołania o ratunek, grube kamienne mury pochłonią każdy dźwięk. Będzie tu ginał z głodu i pragnienia, mniszki będą w kościele błagać o wybaczenie grzechów konającego. Nawet przez myśl im nie przejdzie, że nie chce umierać. Serce ich nie zadrza litością. Nie miały litości dla samych siebie, dohrowolnie skazały się na śmierć za życia. Zechca go zbawić wbrew niemu. O, ileż raz kościół uszczęśliwiał grzeszników wbrew ich woli, zabierając im życie?

Spocił się ze strachu. Wstał ze skrzyni, drżącymi palcami wyjął z kieszeni zapalki. Błysnęło światło — lepsza była nagle gwałtowna śmierć, niż powolne konanie. Doirzał na skrzyni ogarek świeczki. Ujął go w palce, rozjaśnił.

Znajdował się w wąskim przedsionku zastawionym dwiema skrzyniami. Tuląc w dłoniach świeczkę, aby nie uroniła iskry — postąpił kilka kroków. Kulał — lewa noga „zasnęła” mu, teraz wędrowały po niej „mrówki”.

Wszedł do szerokiej nisko sklepionej piwnicy, zamajaczyły jakieś białe plamy. Krzyknął.

Czuł jak paraliżuje go strach. Było to wrażenie jakby owo ścierpienie nóg przesunęło się na całe ciało, schwyliło za serce, podsunęło się do gardła.

„Na długich regałach z desek stały w niskiej piwnicy białe malowane trumny. Ich biel wydawała się świeża, pelzały po niej promienie światła. Na białych wiekach intensywną czerwienią mieniły się malowane róże. Niektóre były purpurowe. Biel wyluskiwała je z mroku, skupiała blask.

„Tu białe, a tam czarne, dla kontrastu” — pomyślał z ironią. Strach mijał, był widzem na jakimś dziwnym spektaklu. Aby do reszty przełamać własny lek — postąpił jeszcze trzy kroki. Zobaczył, że kilka trumien jest otwartych. Leżały w nich mumie mnisek. Widział ich twarze, powieki zapadnięte w oczodołach, wychudłe policzki, przezroczyste nosy, ręce złożone na piersiach. Ich widok nie przerażał. Byli jak odlewy woskowe.

Domyślił się, że złożone tu zwłoki należały do Panien Norbertanek. To one wchodziły ongiś do klasztoru, który do piero przed stu pięćdziesięciu laty przeszedł w ręce Kamendulek. Chowano je w białych trumnach, śmierć była dla nich jakby godami weselnymi.

Ogarek świecy dogorywał mu w dłoniach. Plomien poczynął parzyć palce. Wraz z bólem wracała świadomość, że wypadnie mu pozostać w ciemności. Najbardziej bał się swej wyobraźni...

d.e.n

Odłoty str. 11

DURA LEX, SED LEX...

Co student ma? Ma się uczyć — możnaby powiedzieć po przemówieniu rektora Politechniki Łódzkiej prof. Mieczysława Klimka, wygłoszonym na inauguracji roku akademickiego.

Z wynikami nauczania na Politechnice nie jest najlepiej. Studenci szczególnie pierwszych lat wykazują dużą nieporadność, wielu trzeba „odsiać”...

Program ustalono na miarę możliwości studenta średnio zdolnego, ale pilnego i pracowitego. Profesorowie w bieżącym roku szczególnie pilnować będą dobrych tradycji uczelni, na które składają się m. in. wysoki poziom i obszerny materiał, w związku z tym — wymagać, wymagać...

Tych, którzy „sami z siebie” są średnio zdolni ale pilni i pracowici, jest jak wiadomo niewiele. Kto więc będzie chciał się na uczelni utrzymać, musi „dopasować” się do tego modelu. (Jedynie dla geniuszy przewidziane wyjątki.)

Ciężkie prawo, ale prawo — student musi się uczyć, nie ma rady. Na siedząco, leżąc, w kucki, na kłęczkach, w przysiadzie, w wanie, tramwaju, łóżku, na podłodze, stole — wszystko jedno, byle przynajmniej na „trójkę”.

P.S. W czasie tej części przemówienia rektora, do dotychczasowych naukowców, studenci (zajmujący ostatnie rzędy i stojący w końcu sali — jak zwykle w czasie uroczystości dla nich głównie przeznaczonych) spojrzeli na siebie w milczącym przerażeniu... Senat w togach i profesorowie na czarno odziani, kiwali potakująco głowami... W oczach zaproszonych gości odbił się niemy wrzask... Na szczęście prof. M. Klimka zaczął mówić o czym innym... Skrzypnęły radośnie krzesła i 23 doktorantów pomaszlowało „do promocji”. Prawie symbol, że nauka jednak coś daje...

Wycieczki, wycieczki

Przechodniów zatrzymujących się licznie przed afiszem w witrynie „Orbisu” przy Piotrkowskiej 63, reklamującym wycieczkę „M/S Batorym na Wyspy Kanaryjskie” frapuje najpierw pytanie: ile też ta przyjemność kosztuje? Kiedy usłyszą, że za wrotną sumę, bo od 19.800 zł do 30.700 zł za 1 miejsce w zależności od rodzaju kabiny — zastanawiają się: kto też może na to sobie pozwolić?

„Odgłosy tygodnia” spieszą zaspokoić ciekawość.

W ciągu 20 dni akwizycji na tę atrakcyjną wycieczkę zapisało się 28 lodzian. Wśród nich są różni specjaliści — lekarze i inżynierowie oraz przedstawiciele prywatnej inżynierii. W całym kraju akwizycja dobiega końca, przy czym kabiny jednoosobowe i dwuosobowe, czyli te najdroższe, zostały całkowicie wyprzedane. W chwili, gdy to czytacie, najprawdopodobniej wolnych miejsc w kabinach czteroosobowych już nie ma. Na Wyspach Kanaryjskich najbliższą reprezentację będą miały Warszawa i Kraków.

Przy okazji emokowania nad trasą i programem wycieczki M/S „Batorym” dowiedzieliśmy się, że:

● liczba lodzian, którzy skorzystali w tym roku z zagranicznych wycieczek „Orbisu” powiększyła się w porównaniu z rokiem ubiegłym w dwójnasób (1960 — niepełna 1000 osób, rok bieżący ok. 2000 osób).

● lodzcy globtroterzy odwiedzili następujące kraje: ZSRR, Czechosłowację, Bułgarię, Rumunię, Chiny, Mongolię, Francję, Włochy, Jugosławię i Belgię.

● najwięcej chętnych zgłasza się na wycieczki do ZSRR nie tylko dlatego, że są one stosunkowo tanio skalkulowane, również dlatego, że są one turystycznie ogromnie ciekawe; w związku z tym na udział w wycieczce do ZSRR trzeba najdłużej czekać;

● najłatwiej dostać się można na wycieczkę do Czechosłowacji. Czas czekania 2—3 tygodnie. Cena tej wycieczki została wydatnie obniżona;

● „Orbis” ma stałych bywalców swoich wycieczek, ale obsługuje też coraz to nowych klientów, zupełnie niespodziewanych;

● zgłaszają się np. emeryci. Przychodzą np. babcie, pokazują książeczkę PKO, powiadają, że całe życie na ten wyjazd oszczędzały i przed śmiercią coś by w świecie chciały zobaczyć.

Z czego wynika, że jeden z nowoczesnych celów osobistych — wojażże zyskuje u nas prawo obywatelstwa bez względu na wiek i stan kieszeni.

ODGŁOSY tygodnia

Klub Dużych w projekcie

„Gdzieście byli jak ludzie rośli?” — mówią wysocy do niskich. I chyba los ich za tę złośliwość ukarał, wybierając na tzw. bież boży — polską konfekcję.

Jeżeli bowiem mężczyzna ma 1.80 cm wzrostu albo więcej — jest bardzo biedny. Jeżeli do tego nie ma brzucha jest podwójnie biedny.

Wysocy lodzianie (nr 50, 52, 54...) porzucili już wszelką nadzieję. Garnitury, płaszcze, koszule, ba pidżamy nawet — państwowej produkcji, nie dla nich są niestety.

Jeżeli jest już „coś wysokiego”, to jednocześnie z mniejszym na brzuch lub pokątną tuszę. Wysoka, przeciętna lub szczupła „budowa”, skazana jest na goliżnę, w najlepszym razie — na brzydkie, tradycyjne i bez poletu odzienie. Garnitury — tenis, płaszczyk — jodelka, koszulki — w małym wyborze kolorystycznym, pidżamy — z flanelki w paski.

Klucz procentowy — oto przyczyna mówią fachowcy. Wysokim przyznano 15% w ogólnej puli produkcji odzieżowej. (Jak wyliczono, że w PRL akurat 15% wysokich będzie ubierać się w państwową konfekcję — Bog raczy wiedzieć). Tak więc np. na drugie półrocze WFHO, które ubiera Łódź i województwo, ma 4,5 tys. garniturów dla wysokich. „Walczymy z producentami, aby dawali jak najwięcej dla dużych” — mówią handlowcy. Niestety, wyniki raczej smutne...

Ostrzegamy: doszły nas słuchy, że wysocy chcą założyć Klub. W projekcie mają:

- atak na Zjednoczenie Przemysłu Odzieżowego,
- atak na producentów,
- atak na sklepy,
- atak na dziennikarzy, którzy obiecywali odzież we wszystkich tzw. „rozmiarowzrostach”,
- marsz nago po Piotrkowskiej.

Jeżeli to nie pomoże, podstępem wygrają ze stanowisk w „odzieży” niskich i średniego wzrostu; przestawia cały przemysł na produkcję dla wysokich; wszystkich innych ubiorą w jednakowe szare worki z dziurami na głowę, ręce i nogi...

Ostrzegamy, żeby potem nie było na nas...

Kup pan cegłę!

W dniu premiery prasowej „Dark Glory” w Teatrze im. Jaracza, sympatyczna aktorka tego teatru p. Maria Kozierska w towarzystwie wicedyrektor Sabinę Nowickiej prowadziła sprzedaż tzw. cegiełek na budowę Domu Starego Aktora w Skolimowie.

Obie panie reklamowały szlachetny „tawar” w cenie 5, 10 i 20 zł za pomocą subtelnej planszy z napisem „Kup cegielkę itd.”. Mimo doborowej publiczności dochód ze sprzedaży cegiełek wyniósł tego dnia 50 złotych. Zastanawiamy się czy wobec tak zawrotnej ofiarności nie należałoby zastosować mocniejszej techniki reklamowej z użyciem znanego hasła i gestu „Kup pan cegłę!”.

Garderobiana w... przedzalni

„Kobieto, poczekaj! Praca nie zajac nie ucieknie!”

— Pod takim hasłem reklamowym można było lansować nowy model fartucha roboczego, wykonanego w Centralnym Laboratorium Przemysłu Odzieżowego dla przadek ZPB im. Liebknechta w Łodzi.

Jest on być może nawet i ładny, ale... nie do pracy w przedzalni, gdzie temperatura dochodzi do 35 st. C., a obsługa maszyn wymaga od przadek dużej elastyczności i ruchliwości ramion.

Zaprojektowany przez CLPO fartuch ma tak wszystkie rękawy, że podniesienie rąk w górę jest wprost niemożliwe, zaś wysoko podszyte zapięte fartuchy sprawiają, iż kobiety wprost duszą się z powodu utrudnionej wentylacji ciała. Do tego laboratoryjne estefki zaprojektowały zapięcie fartucha z tyłu i to jeszcze kryte.

Konia z rzędem przadek, która potrafi sama uporać się z tak fikuśnie pomyślanym zapięciem. W związku z tym w fabryce powstał nowy orzech do zgrzyzienia dla dyrekcji tj. konieczność utworzenia nowego etatu w przedzalni. Garderobianej!

Piękne dziewczęta na łamy „Odgłosów”



Foto. PARYS

Sputniki i koniki

Przyszły kronikarz dziejów Łodzi będzie mógł zanotować, że w piątym roku ery kosmicznej (liczonej od 4. X. 1957), w drugim co do wielkości mieście Polski wykorzystywano dla celów transportowych jeszcze ponad 150 wozów konnych.

Większość z tej floty, bo około 200 wozów jest w posiadaniu osób prywatnych. Tak duża ilość wehikułów „owsem pedzonych” wskazuje niedwuznacznie na niedorozwój transportu samochodowego. Dzielni wozacy podejmują się wszystkiego, wywożą ziemię z placów budowy, dostarczają węgiel, przewożą fortepiany. Autor niniejszej notatki sam na sobie doświadczył mocy wezaków, kiedy za przewiezienie fortepianu na niewielkim odcinku wyłożył (na tenże fortepian) ciepłą rękawką pięć czerwonych biletołów Narodowego Banku Polskiego.

Wszakże i przedsiębiorstwa państwowe nie mogą się obejść bez zaonych koników i „rolwag”. W ich posiadaniu jest aktualnie 168 wozów. Używają ich na przykład Miejskie Przedsiębiorstwo Pogrzebowe czy Zakłady Przemysłu Welnianego im. Niedzielskiego. Swoją drogą nie wyobrażamy sobie, kto w zmechanizowanym przedsiębiorstwie zajmuje się np. zakupem owsa czy uprzątnięciem stajni. Można przypuszczać, że w tych instytucjach na jednego konika przypada kilku specjalnych urzędników i pracowników fizycznych.

By wyjaśnić problem koni w całości, dodajmy, że w tej chwili kursuje po Łodzi 45 dorożek. Od trzech lat Wydział Komunikacji nie wydaje już nowych koncesji na dorożki, ich liczba więc z każdym rokiem się zmniejsza (np. w roku 1958 było ich jeszcze 65).

Tak więc, mimo ogólnosiwiatowych postępów techniki, nie możemy powiedzieć, że w mieście Łodzi okres koegzystencji sputników i koników mamy już za sobą.

„Chinka” dla świata pracy

Latem bieżącego roku centralne władze handlowe doszły do wniosku, że ludność ubogiej Łodzi jest już dostatecznie bogata, by wzorem stolicy mogła sprostać pokusie egzotycznej błyskotki. W ten sposób w połowie sierpnia doszło do otwarcia sklepu „Chinka”.

Jak dotychczas, wbrew minorowym zapowiedziom „Expressu Ilustrowanego”, do kasy „Chinki” szczerze przepływają pieniądze z kieszeni łódzkiego świata pracy. Dzienny obrót sklepu wynosi 15 tys. zł. Sprzedano już nawet parawan za 2,5 tys., choć w Warszawie, gdzie sklep czynny jest od roku, podobny parawan dotąd jeszcze nie znalazł amatora.

Najdroższy przedmiot, który oferuje „Chinka”, to mała figurka z nefrytu (zielony kamień szlachetny) w cenie 9 tys. zł, najtańszy — pateszek z jedwabiu za 8 zł. Łącznie jest w sprzedaży około 300 artykułów.

Praktyczni lodzianie z miejsca uznali „Chinkę” za dostarczącego prezentów dla znajomych, prezentów niepraktycznych, ale dających świadectwo gestowi ofiarodawcy. Bo co z „Chinki”, to przecież drogie. Spieszmy zatem uświadomić odbiorców, że przeciętny kupujący wydaje w „Chince” od 100 do 300 złotych.

Zdarzyło się raz, że koledzy z biura zakupili dla wychodzącej za mąż pracownicy różnych przedmiotów na sumę ponad 10 tys. zł. Niestety, nie udało się nam dojść, gdzie są takie biura i tacy koledzy.

Sklep cieszy się powodzeniem cudzoziemców. W ciągu krótkiego czasu odwiedziło go siedem grup Francuzów, którzy wykupili co droższe przedmioty, nawet cukiernice po 2.800 złotych.

Parawanu jednak nie daliśmy za granicę!

Z SADU

Obrońca... oskarżył

33-letni Stanisław Stasiński stanął przed Sądem Powiatowym dla m. Łodzi pod zarzutem kradzieży... flaków. Był to już jego drugi występ przed sądem. Pierwszy raz również za przywłaszczenie mienia otrzymał w zamieszczeniu karę 6 miesięcy aresztu.

W czasie dochodzenia Stasiński przyznał, iż jest recydywistą. Fakt ten zaprotokołowano. Niestety, z powodu jakiegoś przeoczenia Ministerstwo Sprawiedliwości nie podało wspomnianego wyroku w karcie o karalności. Na ten ważny szczegół nikt nie zwrócił uwagi.

Rozpoczął się proces. Po zamknięciu postępowania dowodowego w czasie przemówienia stron, obrońca oskarżonego — adw. B. L., chcąc podkreślić, iż klient jego jest człowiekiem szlachetnym i prawdomównym, wspominał, że Stasiński szczerze się przyznał do dawnych grzechów. W tym momencie na sali zapadła konsternacja Sędziego, dowiadując się, że oskarżony był już kiedyś karany, rozprawę odroczył.

Tę więc, dzięki obrońcy sprawa będzie sądzona w innym składzie — z udziałem ławaków a oskarżonemu, jako recydywistę grozi poważniejszy wyrok niż by zapadł w odroczonej procesie. Przy okazji nastąpi także obwieszczenie dawnej kary.

Co znaczy, gdy obrońca jest naprawdę współczynnikiem wymiaru sprawiedliwości...

Interes i wpadka

Kierownictwo Łódzkiego Przedsiębiorstwa Instalacji Sanitarnych i Elektrycznych zawarło z własnymi pracownikami 13 umów na wykonanie prac zleconych wchodzących w zakres obowiązków służbowych tych pracowników. Prace były wykonywane w normalnych godzinach pracy. Na tym interesie zarobiło 108 tys. zł... nie licząc oczywiście wpadki, która przyniosła niektórym osobom utratę wolności.